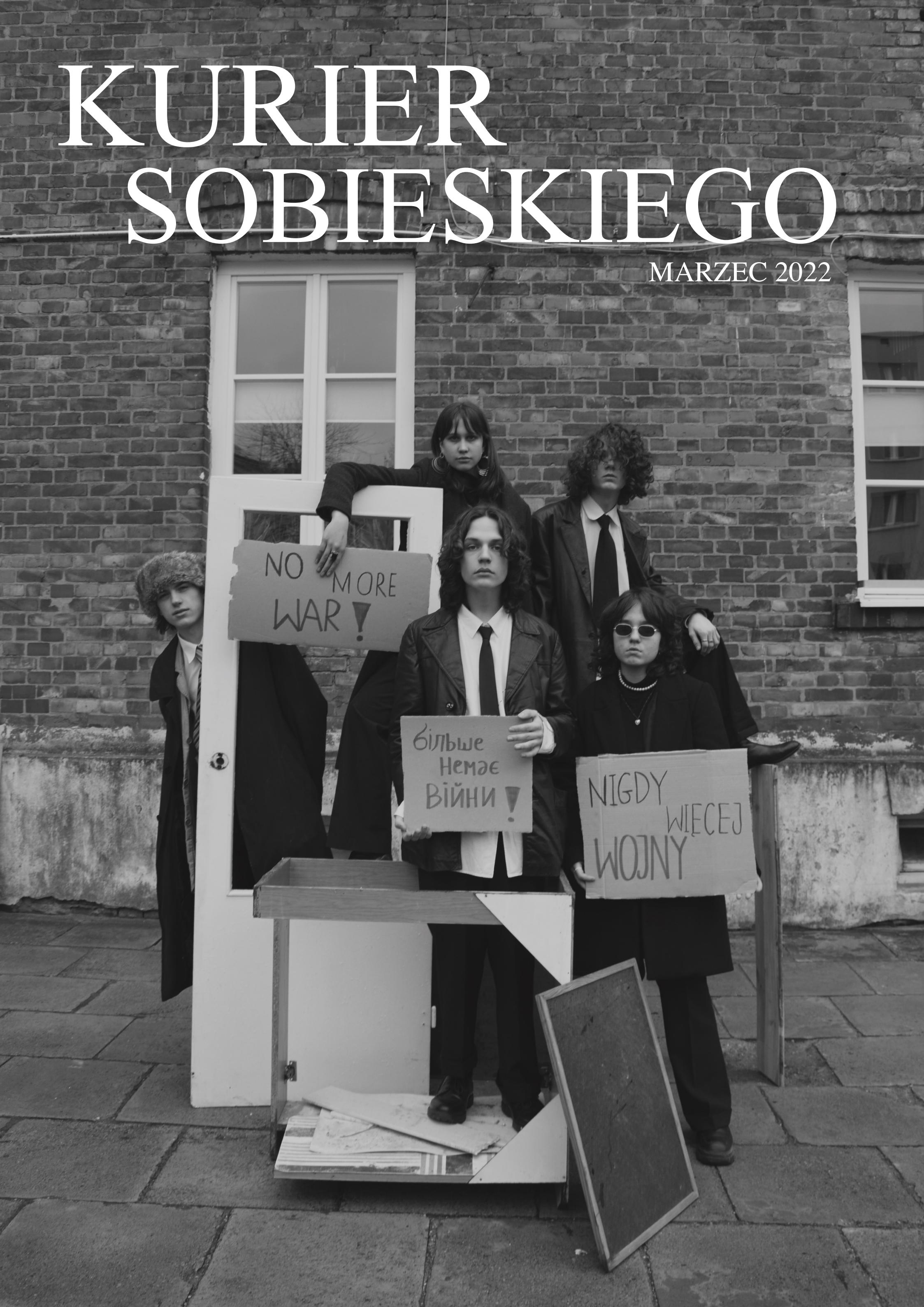


KURIER SOBIESKIEGO

MARZEC 2022





NATALKA WALESIENIUK



JANEK WYRZYKOWSKI



PROF. DOROTA SECH



JUL KOMINEK



OSKAR WALCZAK



WIKTORIA
KRASZENINNIKOWA



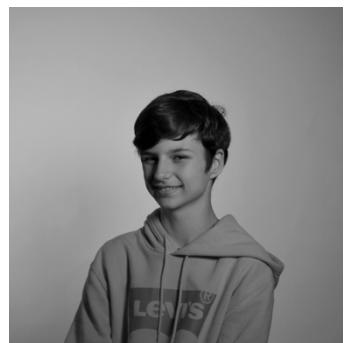
GUSTAW MARCINKOWSKI



KUBA BOBER



JULIA WIĘCH



GUSTAW SZASZKIEWICZ



MARIA JUŻKÓW



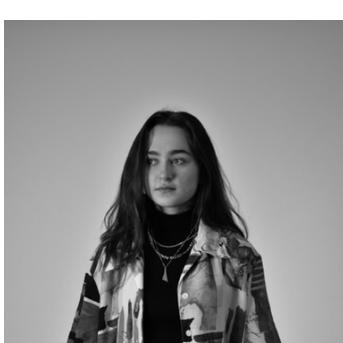
FRANEK GACZYŃSKI



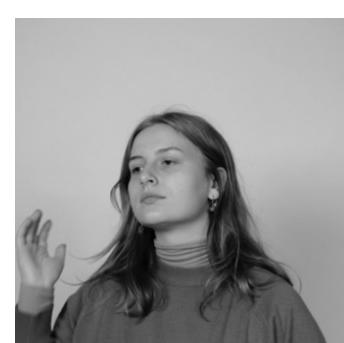
KASIA WINIARZ



ALEKSY JAKUBIEC



MARIA LUDWISIAK



BACHA SKORUPSKA

REDAKTOR NACZELNA: NATALKA WALESIENIUK

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO: JANEK WYRZYKOWSKI

OPIEKA MERYTORYCZNA: PROF. DOROTA SECH

PROJEKT: MARIA LUDWISIAK, BACHA SKORUPSKA, NATALKA WALESIENIUK, JUL KOMINEK, JANEK WYRZYKOWSKI

WYKONANIE: NATALKA WALESIENIUK, JANEK WYRZYKOWSKI, JUL KOMINEK, NATALIA JĘDRZEJĘWSKA

KOREKTA: PROF. DOROTA SECH

PROJEKT I WYKONANIE OKŁADKI: NATALKA WALESIENIUK

SESJA OKŁADKOWA: NATALKA WALESIENIUK

NA OKŁADCE: MIKOŁAJ WINIARZ, GABRIEL KOWALEWSKI, MILA MIKUCKA, MARTYNA KNYZIAK, JULIAN STACHOWSKI

STRONA INTERNETOWA: JANEK WYRZYKOWSKI

SOCIAL MEDIA I PROMOCJA: TOHA PNIEWSKA

PATRONAT: DYREKTOR MAGDALENA KOCHEL

INSTAGRAM: @ODSIECZWIEDENSKA

SŁOWEM WSTĘPU

**NIGDY WIĘCEJ WOJNY! НЕМАЄ БІЛЬШЕ ВІЙНИ! NO
MORE WAR!**

Nie takimi słowami chcieliśmy rozpocząć nowy rok. Nie takie hasła miały widnieć na okładce najnowszego wydania. Żyje tym cały świat, my też. Nie chcieliśmy pozostać obojętni wobec trwającej agresji Rosji na Ukrainę. Nie możemy udawać, że nic się nie dzieje, więc okładkę wydania, które właśnie czytasz, uznać możesz za znak naszego wsparcia. Nad tym, co znajdziesz w środku, pracowaliśmy nim jeszcze ktokolwiek był w stanie uwierzyć, że będziemy świadkami wojny i zbliżającego się kryzysu humanitarnego, dlatego mamy nadzieję, że lektura pozwoli czytelnikom choć na chwilę o nich zapomnieć. Kolejne strony to teksty, które powstały, kiedy nie baliśmy się jutra, a świat był kolorowy, stąd też wywiad z Sesme Studio, w którym opowiadzą jak szare budynki zamieniać w coś kolorowego. Dowiesz się, czym jest *overthinking* i dlaczego Szwecja jest tak szczęśliwym krajem. Przeczytasz tekst o koncertach i dlaczego czasem warto schować swój telefon do kieszeni. Nie zabraknie też komentarzy na temat sportu i historii jednej z dzielnic Warszawy. Słońca i otuchy doda tekst o wakacjach, który przyniesie trochę oddechu, którego tak bardzo nam wszystkim brakuje. Wszystkim nam jest ciężko, nie zapominajmy o tym, że nie jesteśmy w tym sami. Nie bójcie się mówić o tym, że rzeczywistość nas przytłacza. Nie bójcie się pomagać. Pamiętajcie, że razem jest nam wszystkim raźniej. Rozmawiajcie o tym, co czujecie ze znajomymi, z dorosłymi. Nie dajcie się ponieść płaczącej się po rogach Internetu dezinformacji, uświadamiajcie innym to, jak jest naprawdę. Wierzcie tylko zaufanym źródłom (niekoniecznie popularnym influencerom). Pomagaj innym, poddajcie dłoń uciekającym z wojny ludziom. Jeżeli możesz daj im schronienie, podaruj paczkę z żywnością i ubraniemi. Ale teraz oderwij się od tej ciężkiej rzeczywistości, przewin kolejne strony i daj głowie odpocząć.

NATALKA WALESIENIUK



FOT. NATALKA WALESIENIUK

KOLOROWE ŚCIANY KOLOROWI LUDZIE

Jaskrawe billboardy potrafią oszpecić ściany budynków, które codziennie mijają tysiące ludzi. Można jednak namalować na nich coś estetycznego i dobrze zaprojektowanego.

Właśnie to robi SESME STUDIO! O tym jak urozmaicają przestrzeń miejską, opowiedzieli nam Alicja i Dawid. Rozsiądźcie się wygodnie i przypomnijcie sobie, czy przypadkiem nie widzieliście ich dzieł w centrum miasta.

CZYM SIĘ ZAJMUJECIE I JAK POWSTAŁO SESME STUDIO? OPowieDZCIE COŚ O SOBIE.

ALICJA PASZKIEL: Sesme Studio prowadzimy we dwoje. Osoby, które z nami pracują, to głównie nasi znajomi, studenci i absolwenci Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Nie mamy stałego zespołu, mamy siatkę ludzi, z którymi nawiązujemy współpracę w zależności od specyfiki projektu. Mamy ekipę, z którą malujemy murale i powiedzmy, że jest to stała ekipa, ale kiedy chodzi o rzeźbę czy scenografię, to współpracują z nami inne osoby.

DAWID KRYSZTOFIAK: Nasze studio skupia się na projektowaniu i malowaniu w wielkim formacie. Do tej pory były to głównie murale artystyczne, teraz weszliśmy w dział murali reklamowych, gdzie pozyskujemy też własne ściany, na których świadczymy odrecznie malowane reklamy.

ZNALIŚCIE SIĘ JUŻ WCZEŚNIEJ, CZY POZNALIŚCIE SIĘ DOPIERO, KIEDY ZACZĘLIŚCIE WSPÓLNIĘ PRACOWAĆ?

DAWID: Poznaliśmy się na studiach na Akademii Sztuk Pięknych na Wydziale Rzeźby. Zostaliśmy parą i zaczęliśmy działać. Wcześniej już malowałem murale głównie w pojedynkę, później dołączyła Alicja i tak zaczęła się nasza przygoda.

OD DAWNA ISTNIEJE WASZE STUDIO, CZY JEST TO RACZEJ ŚwieŻY PROJEKT?

DAWID: Razem malujemy murale od trzech lat, ale już w 2016 roku powstał pierwszy mural mojego autorstwa – dyplom w liceum plastycznym na smoczej.

DLACZEGO MALUJECIE W DUŻYM ZESPOLE, A NIE TYLKO WE DWOJE? CO SKŁONIŁO WAS DO TEGO, ABY WASZE PRACE POKAZYWAĆ NA ŚCIANACH DUŻYCH BUDYNKÓW W ŚRODKU MIASTA?

ALICJA: Murale muszą być realizowane w dużych grupach. Duże realizacje to co innego niż małe formaty, w których można skupić się wyłącznie na osobistej ekspresji. To skomplikowane przedsięwzięcia, w których zgrany zespół jest podstawą. Każdy ma swoje zadanie, do którego wnosi własne umiejętności. Kiedy są jakieś trudne fragmenty malarskie, często pomysłów nad ich opracowaniem szukamy razem. To bardziej efektywne i o wiele ciekawsze. Funkcjonowanie tego, co stworzyliśmy w kontekście miejskim jest dla mnie szczególnie interesujące. Poza ASP skończyłam też architekturę i urbanistykę na Politechnice.

DAWID: Kończyłem liceum plastyczne, w którym zdobyłem warsztat malarski, rzeźbiarski i projektowy. Nauczyłem się tam podchodzić do różnych zagadnień w sposób nieszablonowy. Przede wszystkim szkoła nie pozwoliła mi wydorośleć, za co jestem dozgonnie wdzięczny! W wolnych chwilach malowałem graffiti, które dało mi poczucie, że nie ma się czego bać. Połączenie graffiti i malarstwa dało efekt w postaci zajawki na murale.

ROBICIE MURALE TYLKO W WARSZAWIE? UDAŁO WAM SIĘ COŚ ZROBIĆ W INNYCH MIASTACH LUB ZA GRANICĄ?

ALICJA: Nasza pierwsza większa zagraniczna współpraca to praktyki w studiu Low Bros. To było w wakacje dwa lata temu. Bardzo dużo się tam nauczyliśmy. Zrealizowaliśmy wtedy dwa projekty. Pierwszy w ramach Urban Art Week, na stacji FIT w Berlinie, a drugi w Hamburgu na budynku Affenfaust Galerie.

DAWID: Mural w Hamburgu powstał z okazji streetartowej wystawy, którą organizowała galeria Affenfaust. Były tam prace m.in. Nychosa, 1010 czy Obeya Gianta, no i oczywiście braci Low Bros. To było ekscytujące móc w tym uczestniczyć.

TO FANTASTYCZNE OTACZAĆ SIĘ OSOBAMI, KTÓRE MOTYWUJĄ NAS DO OSIĄGANIA WŁASNYCH SUKCESÓW. SKĄD I OD KOGO CzerPIEcie INSPIRACJĘ?

DAWID: Są artyści i artystki, których pracami bardzo się jaram, ale dużo bardziej wpływa na mnie to, jak te osoby pracują, ile serca wkładają w to, co robią i jaką satysfakcję z tego czerpią. Oczywiście obejrzone obrazy, informacje, doświadczenia się kumulują i kształtują nasze podejście do własnych projektów. Nie ma też co owijać w bawełnę, czasami na brak pomysłów, z pomocą przychodzi Instagram czy Pinterest, ale murale to dość specyficzna dziedzina.

ALICJA: Są to zazwyczaj murale, które nawet jeśli są artystyczne, powstają na budynku, który do kogoś należy. Więc pierwotna wizja, czy to ma być mural „z przesaniem”, czy czysto estetyczny wzór, jest bazą, w oparciu o którą zaczynamy projekty. Sprawdzamy, co to jest za miejsce, ściana i kontekst. Wiadomo, że zupełnie inny mural można namalować na przedwojennej ścianie, a inny na nowym budownictwie. To aspekt, który trzeba przeanalizować, przejść się po okolicy i przemyśleć, co by tutaj pasowało, zaangażować wrażliwość.

DAWID: Tak, to prawda. Ważne jest, aby mural współgrał z okolicą. Oprócz otoczenia istotne jest, aby opowiadać to komuś, aby mural trafił do grupy odbiorców. Jeżeli realizujemy projekt komercyjny w hotelu, wiemy mniej więcej, kto będzie go oglądać. Co innego, jeżeli jest to mural reklamowy Tymbarka na starej Woli lub nasza realizacja *stricto* artystyczna przy Hali Koszyki.

ILE CZASU ZAJMUJE WAM PRACA NAD MURALEM I ILE OSÓB PRZY NIM PRACUJE?

ALICJA: Mural Tymbarka w Warszawie zrealizowaliśmy w 8 osób. Sam proces malowania trwał około tygodnia. Projektowanie i wstępne rozmowy z Tymbarkiem – parę miesięcy. To był etap konfrontowania własnych pomysłów z oczekiwaniemi osób zamawiających dzieło.



FOT. @FWNN, @NORDYCKI_DIDZEJ, @MAXGRONOWSKI



Z JAKICH MURALI, OPRÓCZ TYMBARKA, JESTEŚCIE SZCZEGÓLNIC DUMNI?

DAWID: Jedną z naszych pierwszych dużych realizacji był mural na budynku biblioteki w Nadolicach pod Wrocławiem. Przystąpiliśmy do realizacji, bo wygraliśmy na nią ogólnopolski konkurs. Projekt zrobiłem z Niną Iżycką, ilustratorką. Tamten mural nie był tylko ozdobą ściany, ale aranżacją wszystkich części elewacji budynku.

ALICJA: Mural oddawał charakter miejsca. Był to budynek, który spała lokalną społeczność. Można było wypożyczyć książkę, a dzieciaki spędzały tam czas. Chodziło o to, że mural podkreślał bardzo szeroki zakres znaczeń, które to miejsce ma dla ludzi. Wniósł nowe wartości dla tej przestrzeni. Bez niego ten budynek nie funkcjonowałby tak dobrze jak teraz.

DAWID: Jesteśmy też dumni z muralu reklamującego nasze własne studio. Naprzeciwko Pałacu Kultury, przy wejściu do Złotych Tarasów. Przy projekcie współpracowaliśmy z Kubą Baraczem.

ALICJA: To przestrzeń szara, trochę monotonna, otoczona nowoczesnymi budynkami. Ten mural jest kolorowym punktem w okolicy, ożywia ją. Ilustracja jest prosta, ale zarazem dużo mówi o nas, naszym studiu i sposobie, w jaki podchodzimy do murali.

WIDZIAŁAM, ŻE ZROBILIŚCIE COŚ DLA FEST FESTIWALU. OPOWIEDZCIE, CO DZIAŁO SIĘ NA FEŚCIE.

DAWID: Z Fest Festiwalem współpracowaliśmy dwa razy. Przy pierwszej edycji stworzyliśmy duży przestrzenny obiekt, na którym malowaliśmy mural wspólnie z uczestnikami festiwalu. Poświęcony był artystom, którzy występowali w tej edycji. Każda osoba mogła razem z nami namalować swojego ulubionego twórcę.

ALICJA: Była to trochę taka duża kolorowanka, którą zaprojektowaliśmy i przygotowaliśmy my, ale do wypełniania jej zaprosiliśmy wszystkie chętne osoby. Konstrukcja stała przed główną sceną w miejscu, gdzie przechodziło mnóstwo osób, dzięki czemu grono malarek i malarzy było bardzo duże.

DAWID: W tym roku zrobiliśmy instalację świetlną. W leśnym zagajniku, gdzie zaaranżowaliśmy strefę chillu, wzdłuż głównej drogi między Main a Silesia Stage. Można było tam odpocząć. Uorientowaliśmy się bardziej w drugą stronę tego, co robimy, czyli działania kreatywne.

TO CIEKAWE. JAKIE RZECZY OPRÓCZ MURALI JESZCZE ROBILIŚCIE?

DAWID: Ostatnio robiliśmy scenografię dla magazynu „PopTown” na imprezę z okazji nowego sezonu.

ALICJA: Efekt, którego szukaliśmy, był czymś pomiędzy trashową domówką, a artystycznym pokazem mody. Musielibyśmy bardzo mocno balansować między tymi dwoma kierunkami. Nad głównym parkietem zawiesiliśmy żyrandole instalacje uplecione z czarnych jutowych lin. Tu inspiracją było shibari. Jedna z sal miała w ten sposób zaaranżowany cały sufit. Na podłogach zrobiliśmy zaprojektowany przez nas patern Poptownu, coś w stylu paternu Gucci czy Louis Vuitton, ale sprejowany z szablonu, a więc bardzo streetartowo. Wszystko to skontrastowaliśmy ciepłym światłem i monolitycznymi ścianami z siana.

MACIE SWOJE ARTYSTYCZNE MARZENIA ZWIĄZANE Z PRACAMI NA BUDYNKACH LUB WSPÓŁPRACY Z DANĄ OSOBĄ?

ALICJA: Temat murali jest czymś, co można łatwo połączyć z innymi obszarami sztuki. Inspirująca jest dla nas np. rozszerzona rzeczywistość, w której opowiadane historie nabierają zupełnie nowego wymiaru. To, że posiadamy multidyscyplinarny zespół sprawia, że czujemy, że możemy zrobić naprawdę wiele.

DAWID: Jeśli chodzi o nasze najbliższe plany, to podoba nam się działalność, która ma charakter komercyjny, a jednocześnie jest dobrze przemyślanym ruchem artystycznym. Takie działania będą czymś więcej niż tylko reklamą. To kierunek, w którym chcielibyśmy się rozwijać.

MACIE JAKIEŚ RADY DLA OSÓB, KTÓRE CHCIAŁABY OBJĄĆ ŚCIEŻKĘ PODOBNĄ DO WASZEJ, ALE BOJĄ SIĘ POKAZAĆ SWOJE PRACE INNYM?

DAWID: Poszerzaj swoje kompetencje i warsztat. Działaj i dokumentuj swoje działania. Tutaj przydaje się umiejętność fotografowania, obróbki zdjęć. Zrobienie portfolio na tumblrze czy w formie pdfa to pierwszy ważny krok. Wysyłaj zgłoszenia na konkursy, stypendia i granty. Posiadając portfolio, możesz zgłaszać się praktycznie wszędzie. Wysyłaj maile do fajnych miejsc z zapytaniem o możliwość odbycia praktyk czy stażu. Nawet jeśli nie potrafisz czegoś, co w danym studio czy firmie robi się na co dzień, nie oznacza to, że ta firma nie będzie Cię mogła tego nauczyć. Ważne, aby być zaangażowanym i aktywnym.

ALICJA: Ważne jest ciągłe pobudzanie swojej wyobraźni i kreatywności. Dla mnie praktyki były naprawdę dużym krokiem naprzód. Mogłam obserwować, jak działa i myśli dany zespół. Są to dwie rzeczy, których nie da się nauczyć inaczej niż w praktyce. Dzięki takiemu doświadczeniu można też zweryfikować własne cele – sprawdzić możliwości, upewnić się, czy aby na pewno wymarzona przez nas ścieżka kariery jest tą, której chcemy podążać. Warto wypróbować różne opcje.

NATALKA WALESIENIUK



FOT. ZUZIA SIWEK, @MAXGRONOWSKI

CO TY SOBIE

MYŚLISZ?!

Czy pytanie postawione w tytule potraktowałeś choć raz poważnie i spróbowałeś udzielić na nie logicznej odpowiedzi? Czy zapytałaś kiedyś o to swoją babcię, brata lub przyjaciółkę? Myślimy cały czas. Jest to tak naturalne i intuicyjne narzędzie poznawcze, że nie przykładamy do niego dużej wagi, tak samo jak nie zastanawiamy się nad sposobem, w jaki oddychamy. Jednak, jeżeli poprosisz, żeby ktoś opisał ci to, w jaki sposób myśli, zorientujesz się, że nie wszyscy myślą w ten sam sposób co ty. W momencie, gdy mój rozmówca uświadomił mi, że nie wszyscy, w tym on, słyszą wewnętrzny głos, myślałem, że kłamie. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, jak może podróżować przez tę bezlitosną meandryczną czasoprzestrzeń bez najlepszego druhu, najsurowszego krytyka i najgenialniejszego wynalazcy – czyli swojego głosu w głowie. A jednak nie kłamiał.

Myślenie to proces, który szalenie ciężko zbadać i opisać. Obecnie nie mamy możliwości elektronicznego odczytu myśli, więc musimy bazować na subiektywnych opisach ograniczonych naszym niedoskonałym językiem, który choć jest silnie powiązany z naszym myśleniem, służy nieco innym celom. Dlatego wszystkie osiągnięcia kognitywistyki, dziedziny nauki zajmującej się obserwacją i analizą działania zmysłów, mózgu i umysłu, będą miały charakter hipotez i teorii.

Warto zauważyć, że trzy najbardziej powszechnie i najogólniejsze style myślenia, których używają ludzie, to myślenie obrazami (*visual thinker*), myślenie schematami (*pattern thinker*) oraz myślenie słowami (*verbal thinker*). Badania ankietowe, w tym to przeprowadzone przeze mnie w redakcji gazety „Kurier Sobieskiego”, wskazują znaczącą dominację ludzi z tak zwanym głosem w głowie. Najpopularniejszą hipotezą na temat tego, czym jest mowa wewnętrzna i dlaczego matka natura nas nią obdarzyła, jest koncepcja sowieckiego psychologa Lwa Wygotskiego, według której człowiek posługuje się trzema rodzajami mowy w obrębie języka – społeczną, wewnętrzną i prywatną. Ta ostatnia oznacza dosłownie „mówienie do samego siebie”, co wbrew popularnej opinii nie jest oznaką szaleństwa czy choroby psychicznej.

Musisz tak głośno myśleć!?

Komunikacja wymusza ułożenie myśli w szyk zdania, przestrzeganie chronologicznej kolejności i logicznej spójności. W przypadku pominięcia tych zasad wypowiedź staje się niezrozumiała dla rozmówcy i traci sens nawet dla nas samych. Mowa wewnętrzna tych ograniczeń nie ma, dodatkowo może korzystać z zasobów naszej pamięci, przywoływać obrazy, dźwięki, zapachy czy skojarzenia, dlatego będzie „brzmiała” zupełnie inaczej niż język, którym porozumiewamy się z innymi, przybierając postać charakterystycznego monologu. Mowa wewnętrzna jest według naukowca dużo bardziej esencjalna i zasobna w znaczenia niż język, którym posługujemy się do komunikacji z innymi, a ponadto nie posiada głównego tematu i wyjaśnień, które byłyby potrzebne w zwykłym dialogu. Mowa wewnętrzna to w takim rozumieniu czysta ekspresja świadomości, która przybiera różne formy rozmowy z samym sobą na skutek interfunkcjonalnego związku języka i myśli, który udowodniono badaniem aktywności konkretnych obszarów mózgu.

Okazało się, że podczas myślenia i mówienia pracują identyczne części mózgu, z wyłączeniem tej, która odpowiada za wytwarzanie dźwięku. Wygotski twierdził, że myśli to uwewnętrziona mowa egocentryczna dziecka występująca u dzieci w wieku 3–5 lat, które werbalnie artykułują swoje egocentryczne myśli. Egocentryczność w psychologii oznacza koncentrację na osobistych celach, przeżyciach oraz brak skupienia uwagi na doświadczeniach innych ludzi i wszelkich zewnętrznych wpływach. W pewnym wieku ten proces ucicha i przemienia się w mowę wewnętrzną. Z tego rozumowania wynikała główna i podstawowa funkcja mowy wewnętrznej, czyli kształtowanie ludzkiej tożsamości, poprzez określenie osobistych twierdzeń, wartości, wyznaczanie celów i opisywanie przeżyć.

Ten skomplikowany bioprocesor, który powstał w procesie ewolucji, pomaga uporządkować i nadać sens wydarzeniom, w których bierzemy udział w ciągu życia. Umiejscawia człowieka w czasoprzestrzeni i pomaga odnaleźć się w skomplikowanym świecie relacji społecznych, przewidywać pożąданie lub zwyczajnie korzystne zachowania czy reakcje. Używanie mowy wewnętrznej pozwala też na lżejsze przechodzenie kryzysów psychologicznych. Wewnętrzny głos daje możliwość nabrania dystansu wobec rzeczywistości i odizolowania emocji od procesu decyzyjnego. Często służy także jako szybki i krótkotrwały schowek pamięci, na przykład, gdy musimy przepisać kod aktywacyjny z maila lub koniecznie zapamiętać czyjeś imię – wtedy powtarzamy je w myślach jak mantrę.

Nieco bardziej psychoanalityczna hipoteza twierdzi, że mowa wewnętrzna to odtwarzany głos rodziców, którzy uczyli nas podstaw funkcjonowania i rozwiązywania problemów. To, dlatego mowa wewnętrzna często przybiera formę automatywatora i dyscyplinatora. Wiele ludzi za pomocą tego wewnętrznego głosu organizuje swoje życie, planuje wyjazdy i znajduje rozwiązania problemów. Robi to, czego powinni nauczyć nas rodzice, dziadkowie czy społeczeństwo. W tej teorii mowa wewnętrzna może być utożsamiana z freudowską ideą *superego*, które wykształcili w nas inni ludzie. Gdy dostaniemy się na uniwersytet, nasz głos podpowiada nam, żeby iść uczcić to z przyjaciółmi, a gdy stracimy kolejną pracę z rzędu wewnętrzny głos wytknie nam nieudacznictwo i zagni do szukania nowej.

Zachowaj swoje myśli dla siebie!

Dużo lepiej przebadanym i chyba jeszcze bardziej przydatnym mechanizmem psychologicznym jest mowa prywatna, czyli mówienie rzeczy przeznaczonych tylko dla własnych uszu. Pozytywny wpływ mowy prywatnej zauważono głównie w szeroko pojętej wydajności i koncentracji. Badanie wykazało, że osoby szukające przedmiotu i jednocześnie mówiące jego nazwę na głos znajdowały go szybciej od tych, które szukały go w milczeniu. Podobne badania porównawcze udowodniły, że najprostsza samo zachęta na przykład „Michał, uda ci się zdać ten egzamin!” zauważalnie zwiększała szansę na pozytywne wybrnięcie z kłopotu lub wyzwania.

Mówienie do samego siebie w drugiej, a szczególnie trzeciej osobie, jest dobre dla ludzkiej wytrzymałości psychicznej. Świeście dystansuje od kryzysowej sytuacji i efektywnie studzi emocje, pomaga również podjąć najlepszą decyzję. Badania mózgu pokazały, że reaguje on na nasz własny głos bardzo podobnie jak na głos drugiej osoby, dlatego naturalnie może być otuchą i wsparciem na duchu w sytuacji, gdy nie mamy nikogo bliskiego lub dotknął nas kryzys samotności. Dwóch chyba najpopularniejszych i najczęściej cytowanych naukowców w tej dziedzinie to Russel Hurlburt oraz Christopher L. Heavy. W swoich pracach skupiają się raczej na tym, czym różnią się między ludźmi style myślenia. Ich zdaniem należy odrzucić wszystkie metody badania procesu myślowego opierające się na tworzeniu samodzielnego opisu przez osobę objętą badaniem. W skrócie Hurlburt i Heavy uważali, że jeżeli poproszą kogoś, by opisał coś tak rozcięgnietego w czasie jak jego sposób myślenia, otrzymany opis będzie zniekształcony przez uogólnienia, niedokładności i zapomnienie. Według nich styl myślenia każdego człowieka to gigantyczna mozaika składająca się z tysięcy krótkich przeżyć wewnętrznych (ang. *inner experiences*), które różnią się od siebie i wzajemnie na siebie wpływają. Nie da się więc powiedzieć nic o nich wszystkich razem i w ten sposób szukać tendencji czy preferencji myślowych.

Badacze samo przeżycie wewnętrzne rozumieli w bardzo szeroki sposób – „wszystko co w danym momencie dzieje się w świadomości w konkretnym momencie może obejmować myśli, uczucia, łaskotanie, wrażenie, świadomość ruchu, smak itd. wszystko co jest wyraźną częścią obecnego stanu świadomości”. Miliony tych przeżyć w ciągu naszego życia świadczą o tym, jaki jest czyjś prawdziwy sposób myślenia, a nie to jak on je odbiera.

Przemyśl swoje myśli!

Większość osób zapytana o sposób myślenia intuicyjnie skojarzy to z „rozkminianiem”, czyli zastanawianiem się, patrzeniem z różnych perspektyw, tworzeniem możliwych scenariuszy lub analizowaniem fragmentu przeszłości, w skrócie – tym procesie, który nie pozwala nam spać lub towarzyszy w długich spacerach po parku późnym wieczorem. Rzeczywiście w takich okolicznościach możemy preferować konkretny typ myślenia. To jednak tylko mały wycinek dnia, a tym bardziej całego życia, któremu nadajemy nieproporcjonalnie duże znaczenie.

Myślimy cały czas, oczywiście nad dużo bardziej przyziemnymi rzeczami typu „nie zapomnij wcisnąć, bo na żądanie” albo „jak mam się dziś ubrać” to wcale nie mniej istotnymi dla naszego stylu myślenia. A to z tego powodu, że po zadaniu przykładowego trywialnego pytania: „o której jutro kończysz?”, proces myślowy będzie różnić się choć najdelikatniej u każdego z nas. Niektórzy z nas zobaczą plan lekcji, drudzy przypomną sobie, o której godzinie wracał do domu w poprzednie poniedziałki, a jeszcze inni od razu sięgną po komórkę. Wykonujemy te czynności szybko i automatycznie, dlatego wydają się zwyczajne. Jednak, jeżeli dokładniej przeanalizujemy, jaką pracę wykonały nasze szare komórki, będziemy pod wrażeniem szybkości i jakości stworzonych połączeń, skojarzeń i wniosków.

Metoda badania ludzkiej świadomości stworzona przez wcześniej wymienionych Amerykanów o angielskiej nazwie *Descriptive Experience Sampling* polega właśnie na wyłupywaniu takich krótkich łańcuszków myślowych, które w życiu codziennym umykają naszej uwadze spraw i stworzenia z tych krótkich opisów świadomości portretu naszych myśli. Ważne, żeby opisy były w jak najczystszej formie, nieskażone upływem czasu, własną interpretacją i przede wszystkim inną perspektywą – mają być dokładnie takie, jakie są. Badani w ciągu dnia noszą urządzenie, które w zupełnie losowych momentach dnia wydaje głośny dźwięk (*beep*), po usłyszeniu, którego muszą bezzwłocznie opisać, w jaki sposób i o czym w danym momencie myślą oraz wszystkie inne rzeczy, które składają się na ich ówczesny stan świadomości. Pod koniec dnia ze swoimi notatkami badani udają się do prowadzącego badanie, któremu jeszcze raz opisują wszystkie *bipy*. Na podstawie tych opisów naukowiec próbuje znaleźć schematy, powtarzające się reakcje i preferowany sposób myślenia. Badanie jest banalnie proste, ale efekt losowości czyni je nawet zaskakująco przyjemnym. Wiem, bo sam postanowiłem je na siebie przeprowadzić w nieco uproszczonej formie, bo bez naukowca kontrolującego.

Jestem pod ogromnym wrażeniem tego, jakie zmiany wywołało to w moim postrzeganiu samego siebie i ludzi z mojego otoczenia. Dzięki temu badaniu mogłem poznać prawdziwego siebie. Tego który odkurza, obiera ziemniaki na obiad i wybiera, który keczap kupić. Bo to też na swój sposób piękna część naszego życia, której nie poświęcamy tyle uwagi, co przykładowo domówkom lub wyjazdom wakacyjnym. To naprawdę najlepszy sposób na odkrycie swoich potrzeb, wartości i sposobu bycia, takimi jakimi naprawdę są, bez nadinterpretacji czy niedowartościowania.

Wystarczy pobrać apkę!

Co do metod badania, hipotez pochodzenia i funkcjonalności naukowcy spierają się w swoich pracach naukowych, ale wszyscy zgodnie zgadzają się, że jesteśmy tym co myślimy, dlatego myślę, że warto poznać swój sposób myślenia. Wszystkim zainteresowanych poznaniem swojego sposobu myślenia polecam darmową aplikację stworzoną przez uniwersytet MIT specjalnie do badania DES. Nazywa się iPromptU. Jej działanie jest bardzo proste – w losowych momentach dnia wysyła głośne powiadomienie, identyczne jak inne powiadomienia w telefonie, w które kliknięcie przeniesie nas bezpośrednio do pola odpowiedzi na pytania dotyczące wewnętrznego przeżycia. Myśl zapisuje się z dokładną datą i godziną. Możemy kolekcjonować je sami dla siebie, podzielić się nimi z psychologiem lub udostępnić na socialach. Aplikacja jest przystępna łatwa w obsłudze i modyfikacji, w żadnym wypadku nie śledzi naszych odpowiedzi i nie przesyła złym amerykańskim bankom danych to inicjatywa naukowa nie ma się czego obawiać. W Internecie można znaleźć mnóstwo filmów i tekstów wyjaśniających zarówno badanie, jak i samą aplikację, dla chcącego nic trudnego.

MICHał WYSZYŃSKI

MÓZG PEŁEN SŁÓW NIEWYPOWIEDZIANYCH

Powyższe słowa zostały wypowiedziane przez osobę, która zmagała się z „lawiną myśli” przez 3 lata. Osobę, która ze swoim problemem została sama, bo nikt nie potrafił jej zrozumieć, łącznie z nią samą. A problemem tym nie było to, co widoczne, namacalne, fizyczne, lecz co niedostrzegalne, niesłyszalne, psychiczne – jej własne myśli, które przerażały ją za każdym razem, gdy zagłębiła się w nie wbrew jej woli.

„(...) często siadam na moim łóżku i pozwalam tej lawinie płynąć. Lawinie myśli, niewypowiedzianych słów, faktów, które faktami są tylko dla mojej głowy. I siedzę godzinami, i myślę nad rzeczą, która nie powinna zasługiwać na analizę, nie powinna w ogóle trafić do mojej głowy, a z jakiegoś powodu jest ona dla mnie najważniejsza. Jeśli mam być szczerzy – wykańcza mnie to. Wykańcza moja własna głowa, która często wokół jednej, nic nieznaczącej sytuacji, tworzy milion jej interpretacji. (...) Interpretacji, w których zawsze wychodzę na beznadziejnego. Ta autodestrukcja boli. Po prostu czuję, że nie mam nad nią żadnej kontroli. Czuję, że moje własne myśli, wcale nie są moje własne. Czuję, że wszystkiego jest za dużo”.

Myśli niszczące – o czym jest mowa?

Problem ten powszechnie znany jest jako *overthinking*. Słowo to znalazło polskie tłumaczenie jako „paraliż analityczny”, chociaż nie jest to często spotykana nazwa. *Overthinking* nie posiada jednej ogólnie przyjętej definicji, lecz w psychologii rozumiany jest jako sparaliżowanie lub utrudnienie zdolności do samodzielnego podejmowania decyzji. Dochodzi do niego przez nieustanne analizowanie nawet nieistotnych sytuacji, nadmierne myślenie lub roztrząsanie różnego rodzaju spraw. Daje poczucie zagubienia, bałaganu w głowie, niezrozumienia samego siebie. Aby przedstawić problem paraliżu analitycznego jeszcze dokładniej, poprosiłem o rozmowę osoby, które się z nim zmagają. Jedna z nich zdefiniowała go w następujący sposób: „*Overthinking* to gonitwa niekończących się myśli. Sprawia on, że tonę i zatracam się w nim bardziej niż w rzeczywistości, tracąc to, co dzieje się w danym momencie”. Kolejna opisała go trochę inaczej, bowiem jako „ciemny pokój, z którego nie można wyjść.” Pytanie więc brzmi:



czym są fundamenty „ciemnego pokoju”?



Aby lepiej zrozumieć *overthinking* i poznać jego podstawy, należy cofnąć się do czasu dzieciństwa, kiedy organizm młodego człowieka wraz z jego psychiką zaczyna się dopiero rozwijać i poznawać to, co go otacza. Problem zaczyna się wtedy, gdy do wrażliwej, ciekawskiej głowy małego dziecka społeczeństwo zaczyna nakładać solidną, racjonalną i konkretną wiedzę, na którą dziecięcy organizm nie został przygotowany. Nie został on przygotowany również na życie w świecie, w którym presja bycia najlepszym występuje na porządku dziennym. Presją tą nazywamy twardy system ocen, który często niesprawiedliwie oraz płytko określa czas, jak i pracę włożoną w naukę danej wiedzy, stigmatyzację porażki jako rzecz najbardziej hańbiącą naszą osobę, parcie rodziny, aby od razu po szkole pójść na dobre studia, a po studiach znaleźć świetną pracę, czy wreszcie działanie social mediów, które cały czas wpajają nam ideę banalnie prostego, szczęśliwego i wyidealizowanego życia. Do tego dochodzą również problemy XXI wieku takie jak przeciążenie psychiki, nadmiar informacji, a wkrótce utrata sił. Są to podstawowe powody paraliżu analitycznego. Wszystkie z nich powodują obawę życia „zły, nieodpowiednim życiem”. Właśnie dlatego osoba chora zaczyna analizować każdą decyzję, którą musi podjąć. Podświadomie stara się, aby każda była idealna oraz posiadała jedynie pozytywne konsekwencje, co często jest niemożliwe. Szczególnie w dzisiejszym świecie *overthinking* zagraża nam, jak i naszym przyjaciołom w niewyobrażalny sposób, jednak jedyne co nam pozostaje to:

obserwacja oraz ewakuacja z głowy. Jak to zrobić i od czego zacząć?

Jak wspomniane zostało wcześniej – paraliż analityczny najczęściej ma swoje podłożę w dzieciństwie, więc i tam, lecz nie tylko, należy szukać niepokojących sygnałów rozwijającej się choroby. Psycholog Monika Kotlarek, którą poprosiłem o opinię, stwierdziła, że „sygnałami mogą być lęki o własną przyszłość, które mogą przejść wręcz do panicznego strachu. Zastanawianie się co może pójść źle, pesymistyczne spojrzenie na własną przyszłość, negatywne nastawienie, brak nadziei, brak inspiracji. Odpływanie w analityczne myślenie, które będzie finalnie kończyć się pesymistycznymi wizjami dokonywanych złych wyborów”. Co, gdy sygnały te pominiemy przez pęd naszego życia? Co, jeśli wy tłumaczymy je gorszym dniem lub tygodniem? Co można uczynić, kiedy sygnały zamieniają się w objawy? Według Moniki Kotlarek jest kilka sposobów na walkę z *overthinkowaniem*.

- Ustalanie ram i limitów czasowych na podjęcie decyzji. Niepozwalanie na to, by wpaść w błędne koło nieustannego myślenia i analizowania.
- Odpoczynek od myślenia poprzez czytanie książki, spacer, drzemkę, obejrzenie serialu, uprawianie sportów.
- Większe skupianie się na tym, co jest tu i teraz, czyli teraźniejszości. Dobrze pomaga w tym wypełnianie codziennych obowiązków bez odkładania różnych spraw na później.

Najważniejszą poradą jest jednak to, aby nie zostawać w społeczeństwie samemu. Właśnie dlatego, drogi Czytelniku, poniżej znajdziesz spis telefonów najważniejszych – niosących pomoc.

116 111 – Telefon zaufania dla dzieci i młodzieży

800 12 12 12 – Dziecięcy telefon zaufania Rzecznika Praw Dziecka

116 123 – Kryzysowy Telefon Zaufania

Pewnie zastanawiasz się teraz:

po co mi to wiedzieć?

Odpowiedź jest o dziwo krótsza niż sądziłam – ludzie chorujący otaczają nas w społeczeństwie z każdej strony. Pokazały to wyniki sondy internetowej stworzonej na potrzebę tego artykułu. Wzięło w niej udział równo 100 osób. Ponad 83% osób przyznało, że czuje wyraźny problem w sposobie ich myślenia, natomiast 80% zadeklarowało, że zna osobę jej bliską, która zmaga się z paraliżem analitycznym.

Ten tekst powstał dla nich, jak i dla Ciebie.

JUL KOMINEK

GRAFIKI: WIKTORIA KRASZENINNIKOWA

ZIMNO, CIEMNO, A WESÓŁO

Szukając odpowiedzi na to pytanie, nie sposób nie wspomnieć o kluczowym pojęciu dla myślenia Szwedów, czyli o *lagom*. Ten termin często porównuje się do duńskiego *hygge* (komfort, przyjemność) – mówi ono o szukaniu wygody w byciu ze sobą oraz innymi poprzez docenianie drobnych rzeczy rozumianych bardziej jako stany, nastroje i przeżycia niż dobra materialne. Może to być na przykład spędzenie czasu wspólnie z rodziną czy komfort z noszenia ciepłych skarpetek. Duńskie określenie wywodzi się natomiast z francuskiego *joie de vivre*, czyli „radość z życia”. Ono także nawołuje do szukania szczęścia w małych rzeczach, takich jak rozmowy z ciekawymi ludźmi czy celebrowanie posiłków.

Czym jest jednak *lagom*? To szwedzki idiom mający znaczenie przybliżone do „tyle, ile trzeba”. Nie więcej, nie mniej – w sam raz. Odzwierciedlenie tej idei można zaobserwować w stylu życia, priorytetach oraz definicji szwedzkiego szczęścia.

O JEDNĄ ŚRUBKĘ ZA DUŻO

Wchodzisz, wiesz, że chcesz tylko nowy fotel, ale i tak wychodzisz z całym koszykiem rzeczy, o których nawet byś nie pomyślał przed wizytą w tym miejscu, a teraz okazują się niezbędne. Gdy przekraczasz próg domu, stanowczo odmawiasz babci ziemniaczków, bo czujesz jeszcze w ustach posmak hot dogów za 2 złote. Wszyscy wiedzą, gdzie byłeś. Sklep ten, niepodobny do żadnego innego, powstał właśnie w Szwecji w 1943 roku. Na tamten moment zakład przypominał bardziej miejsce typu „1001 rzeczy” niż salon, który znamy dziś. Firma zajęła się produkcją wyłącznie mebli w 1947 roku. Co ciekawe, działalność Ingvara Kamprada, bo tak miał na imię siedemnastoletni założyciel przedsiębiorstwa, nie cieszyła się od razu dużą popularnością. Duża rywalizacja na rynku prowadziła powoli do upadku firmy. Na całe szczęście wtedy pojawiły się radomszczanie (wydaje mi się, że mógł to być pierwszy raz w historii, gdy ktoś tak bardzo uciechył się z obecności radomszczan). Nawiązali oni współpracę z IKEĄ i dali jej drugie życie, wznowiąc produkcję. Chociaż żartobliwa „jedna śrubka za dużo” w opakowaniu, która skłania użytkownika do poważnych rozważań na tematy egzystencjalne i poddaje w wątpliwość nadzieję na stabilność właśnie postawionej szafy czy stołu, nie zgadza się ze szwedzką filozofią życia, to dlaczego mimo to IKEA jest *lagom*? Design jest dość minimalistyczny, rzadko zdarzają się jaskrawe kolory czy odważne wzory. Najważniejsza jest prostota i funkcjonalność, która w połączeniu z wysoką jakością sprawia, że meble są wytrzymałe i mogą dłużej służyć. Nie prowadzi to do nakręcania konsumpcjonizmu i wywierania nienaturalnej presji do kupowania nowego krzesła co pół roku. Relatywnie niska cena sprawia, że firma jest dostępna dla wszystkich niezależnie od statusu majątkowego.

PIENIĄDZE SZCZĘŚCIA NIE DAJĄ

Pieniądze stanowią nieodłączny element rzeczywistości każdego obywatela. W zależności od miejsca wychowania, sytuacji rodzinnej czy osobistych przekonań można do nich podchodzić w różny sposób. Mogą być postrzegane jako coś pozytywnego, dającego możliwość rozwoju, ale też jako coś co raczej ciąży i przeszkadza, niż jakkolwiek pomaga. Co na to Szwedzi? Państwo oraz gminy pobierają liczne podatki, finansując, na przykład, ochronę zdrowia, edukację i drogi krajowe. Funkcjonuje tam system socjalny. Władze postrzegają pieniądze jako coś niezbędnego, co pomaga rozwijać kraj, dając jednocześnie poczucie wpływu na losy państwa. Sami obywatele często wydają się mieć w głębokim poważaniu swoje fundusze. Z uwagi na podatek progresywny, czyli uzależniony od wysokości dochodu, nadgodziny często się nie opłacają. De facto – więcej pracujesz, więcej dostajesz (na papierze), większy podatek, więc wszystko sprawdza się do podobnych zarobków (na rękę). Przepracowanie okazuje się niewygodne zarówno dla zatrudnionego, bo dodatkowy wysiłek nie przynosi dochodu, jak i dla zatrudniającego, ponieważ każda „godzina ponad” generuje wydatek. Ludzie zamieszkały w królestwie zazwyczaj nie mają problemów z niestabilnym zatrudnieniem. Większość firm stosuje schemat *first in last out*. Sprawia to, że o ile nowozatrudnionym może być niełatwo, to pracownik z doświadczeniem raczej nie powinien obawiać się o swoją posadę. Szwedzki sposób postrzegania kultury pracy jest kompletnym przeciwieństwem modeli panujących w Stanach Zjednoczonych czy Japonii. System pracy USA opiera się przecież o stwierdzenie *live rich or die trying*. Ten schemat myślenia wywiera na pracowników niesamowitą presję, zmuszając ich do zarabiania. Zobowiązuje do zdobywania kolejnych dolarów, aby kiedyś móc przeczytać o sobie w spisie Forbesa czy na innej liście smutnych ludzi Ameryki wymyślonej przez smutnych ludzi, tylko bogatszych, żeby pocieszyć tamtych smutnych ludzi. W Japonii przepracowanie się na ogół nie wynika z chęci zaistnienia na kolejnej liście „top 3 najlepsze”. Wiąże się ono bardziej z ogólnie przyjętym, niewiarygodnie szkodliwym, kultem pracy. Pracoholizm jest przyjęty społecznie i stanowi normę, co powoduje nienaturalną potrzebę robienia nadgodzin, wykorzystując zaledwie 9–10 dni wolnych w roku. O powadze problemu świadczy słowo wywodzące się z japońskiego *過労死* (*karōshi*) oznaczające śmierć w wyniku przepracowania. Język żyje dla człowieka, więc skoro takie słowo istnieje, to, niestety, było potrzebne. Szwedzkie zarobki to aspekt, w którym bardzo wyraźnie widać *lagom*. Nie potrzebujesz dużo pieniędzy. Po co masz się przepracowywać – to nie ma sensu. Musisz spędzić osiem godzin na

W polskim społeczeństwie dość powszechnie stało się przekonanie, że w ciepłych krajach ludzie są szczęśliwi od tych zamieszkujących chłodne tereny. Szwecja to królestwo położone na Półwyspie Skandynawskim, gdzie panuje dość kiepski klimat. Nie przeszkadza jej to jednak w tym, aby znajdować się w dziesiątce najszczęśliwszych krajów świata. Skąd to szczęście? I co to znaczy żyć po szwedzku?

stanowisku, tyle ile trzeba, ale potem spędź trochę czasu z rodziną, wyjdź ze znajomymi i po prostu korzystaj z życia. Nie możesz wyjść po pięciu, bo to za mało, a dlaczego masz siedzieć po dwanaście, skoro to za dużo? Nie za mało, nie za dużo. Osiem. Po co ci gromadzenie milionów, których prawdopodobnie nie będziesz miał nawet okazji wydać, skoro możesz prowadzić spokojne, skromne, ale szczęśliwe życie?

SZCZĘŚLIWY KRAJ SAMOBÓJCÓW

Przedstawiając Szwecję jako kraj pełen zadowolonych z życia ludzi, trudno nie poruszyć tematu licznych samobójstw, jakie mieliby popełniać mieszkańców tego państwa. Jest jednak jeden problem... to nie prawda. To stereotyp, który ma swoje historyczne potwierdzenie, ale już, na szczęście, nie jest aktualny. Klimat krajów skandynawskich jest dość ponury. To fakt, z którym trudno się nie zgodzić. Zależnie od regionu oraz pory roku, słońca może nie być na horyzoncie nawet do dwudziestu godzin. Niewątpliwie wpływa to na stan psychiczny mieszkańców. Zjawisko SAD'u (*seasonal affective disorder*), inaczej depresji sezonowej, powodowało liczne samobójstwa. Wielu ludziom brakowało światła i witamin. Przez wiele lat nie znajdowano zależności między surowym klimatem a problemami obywateli. Najprawdopodobniej dopiero w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku, gdy Szwecja osiągnęła najwyższy wskaźnik samobójstw, władza zobaczyła, z jak poważnym problemem ma do czynienia. Niezwłoczna reakcja w zakresie opieki zdrowia psychicznego sprawiła, że z roku na rok statystyki drastycznie zaczęły spadać. Na szczęście kryzys został opanowany i chociaż wiele pracy jeszcze przed Szwedami, to raczej tendencja jest spadkowa, co widać na przykładzie danych opublikowanych przez „Karolinska Instytut” porównujących wskaźniki 1980 z tymi z 2020 roku.

A MOŻE NIE TYLKO LAGOM?

Lagom jest niewątpliwie bardzo istotnym pojęciem dla zrozumienia szwedzkiej filozofii życia, natomiast nie mniej ważna okazuje się gökotta. O ile z tłumaczeniem wcześniejszego idiomu wystąpiły pewne komplikacje, to w tym przypadku w ogóle nie da się znaleźć odpowiednika w języku polskim... i w sumie to żadnym innym też. Jest to nazwa rytuału, który zakłada wstawianie o świecie, by wyjść na dwór. Głównym celem takiego wyjścia jest nasłuchiwanie śpiewu ptaków. Jest to tradycja praktykowana z okazji dnia Wniebowstąpienia Pańskiego. Organizowano wtedy nawet specjalne msze dla wiernych, którzy chcieli podczas liturgii słuchać świergotu ptaków. Szczególnie znaczący był śpiew kukułki, który kojarzy się z początkiem wiosny. Obyczaj podkreśla rolę przyrody w codzienności człowieka, pokazując, że życie w zgodzie z naturą jest piękne. Zwyczaj funkcjonuje w dzisiejszej Szwecji zarówno w formie pierwotnej, jak i nieco zmienionej, która odchodzi od sakralnego charakteru tej tradycji, a nadaje bardziej uniwersalnego znaczenia. Pobudka przy tak wspaniałym akompaniamencie jest uznawana przez wielu za najważniejszy składnik dobrego dnia. Aby przeżyć gökottę, nie trzeba wychodzić zawsze na dwór – zmiana metalicznego alarmu budzika na świergot ptaków można uważać już za duży krok w stronę wcielania gökotty w swoje życie. Przywiązanie Szwedów do natury przejawia się też w nadawaniu ogromnego znaczenia ekologii. Obywatele przede angażują się w akcje mające na celu zwalczanie kryzysu klimatycznego i walkę z zanieczyszczeniem środowiska. Oprócz „tradycyjnych” działań dla planety (jak na przykład popularyzacja second handu, segregacja śmieci itd.) wymyślono także bardziej niekonwencjonalne rozwiązania. W 2016 roku Erick Alhlström zainicjował plogging, czyli jogging, podczas którego można *plocka upp* (szwedz.: zbierać) śmieci leżące na drodze. Aby osoby niezainteresowane sportem nie czuły się wykluczone, później wymyślono również *plalking*, gdzie zamiast biegać, można po prostu chodzić. Takie spacery pomagają, przynajmniej w jakiejś części, ekologii, ponieważ przetwarza się odpady, które po prostu leżałyby na ziemi, a do tego skutecznie zniechęcają od śmiecenia na ulicach w przyszłości.

CZYLI JAK TO JEST ŻYĆ PO SZWEDZKU?

Bez pośpiechu, bez wyścigu szczurów, bez zbyt ambitnych, a co za tym idzie, nieosiągalnych celów. Życie spokojne, w zgodzie z naturą, dbając nie tylko o siebie, ale też o tych dookoła, slow life, spędzanie czasu z innymi, luz. Nie twierdzę, że Szwecja to autorytet absolutny, pozbawiony wad. Niewątpliwie ma swoje grzeszki, ale uważam, że można się od Szwedów wiele nauczyć. Na przykład żyć. Bezwarunkowo. Bezetrosko. Po prostu.

WIKTORIA KRASZENINNIKOWA

OD FANA DO FANATYKA

Wielu ludzi uważa, że posiadanie stalkerów jest czymś pozytywnym, bo świadczy o atrakcyjności tych, którzy są stalkowani. Chwalą się tym, jakby było to coś normalnego. Stalker z początku może wydawać się niegroźny, jednak nie wiadomo, do czego może być zdolny. Wystarczy spojrzeć na poniższy przykład.

16 września 1996 roku właścicielka pewnego apartamentu na Florydzie zauważała spływającą po ścianie czerwoną ciecz. Za ścianą znajdowało się mieszkanie wynajmowane przez Ricarda Lopeza, który dorabiał wtedy jako eksterminator szkodników. Po otworzeniu drzwi mieszkania znaleziono martwe ciało Ricarda w stanie zaawansowanego rozkładu. Twarz mężczyzny była całkowicie pokryta kolorową farbą tłuszczową, a naprzeciwko ciała stała kamera, która nagrała ostatnie chwile jego życia. Samo mieszkanie nie wyglądało normalnie, nawet jeśli w rogu pokoju nie leżałyby trupy. Ściany były zapełnione zdjęciami młodej artystki Björk, oraz napisami, z których wiele było rasistowskich wobec czarnoskórych osób. Za ciałem mężczyzny leżała tablica z dużym, przyciągającym uwagę napisem „THE BEST OF ME”, który był tłem w nagraniach kaset Ricarda. Na telewizorze w mieszkaniu były wyświetlane zdjęcia Björk. Śledczy nie wiedzieli wtedy, kim jest ta kobieta, wiedzieli jedynie, że 21-letni Ricardo cztery dni wcześniej zabił się strzałem w głowę. Śledczy nie mieli też pojęcia, co znajdują na 22 godzinach nagrani z kaset, które znaleźli w mieszkaniu. Kasety te były dokumentacją ostatnich miesięcy życia Lopeza, a on sam nie zaczął ich nagrywać bez powodu – miał bowiem plan.

z nikogo do fana

Ricardo nie zostawił po sobie jedynie kaset, lecz także prawie 200 zapisanych stron notatnika, na których znajdowały się jego przemyślenia i pomysły. Z notatek można się dowiedzieć, że Ricardo był młodym mężczyzną, który był niezręczny w obecności kobiet i był sklepiony swoim ciałem. Rodzina Lopezów to ludzie z klasy średniej. Pochodzili z Urugwaju, jednak Ricardo większą część swojego życia spędził w Ameryce. Mimo tego, że był niesamowicie inteligentny, rzucił szkołę, aby zostać artystą. W tym czasie formą ucieczki od codzienności było dla niego czytanie magazynów o czarującym życiu celebrytów.

Na początku pamiętnika Ricardo dowiadujemy się, że podobała mu się aktorka Geena Davis, jednak jego uczucia zniknęły, kiedy dowiedział się o jej ślubie z reżyserem Rennym Harlinem. Niedługo po tym zobaczył teledysk piosenki Human Behaviour młodej islandzkiej artystki Björk i już po chwili był nią zupełnie oczarowany – na nagraniach opisał pierwsze wrażenie, jakie na nim wywarła – *Woah, man. She's so beautiful. Strange, i've never really seen a girl that looks quite like that.* Björk znana była w tamtym okresie z swojej subtelnej urody i niespotykanego, nawiedzającego głosu. Na początku wydawało się, że jest ona dla Lopeza jedynie muzą, inspirowała go do tworzenia sztuki, a on adorował jej „niewinność i słodycz”. Z czasem to się zmieniło...

z fana do fanatyka

Na nagraniach mężczyzna analizował własną przemianę z fana w fanatyka. Opisywał to, co czuł do artystki, jako miłość. Popadł w zupełny obłęd, budując wizję niewinności, jaką skrywała w sobie Björk. Postanowił wysłać jej jeden z portretów, który dla niej wykonał, nie dostał jednak żadnej odpowiedzi. Lopez odliczał dni, od ilu nie otrzymał żadnej odpowiedzi od swojej sympatii. W pamiętniku pisał, że jest przez nią ignorowany, co jedynie pokazuje, jak bardzo tracił kontakt z rzeczywistością i pograżała się w swoich fantazjach.

Ricardo nigdy nie udał się na żaden z koncertów Björk, ani nie próbował złapać z nią kontaktu w realnym życiu. Mimo to wciąż był stalkerem, z tą różnicą, że wszystko działało się w jego małym pokoju. Trzy lata po tym, jak jego obsesja na punkcie Björk rozkwitła, mężczyzna sposępniał. Najnowsze utwory artystki i wiadomości na jej temat sprawiły, że uświadomił sobie, że niewinność Björk była jedynie wytworem jego wyobraźni, której zresztą nie mógł skonfrontować z rzeczywistością. Dotychczas tego unikał, by nie zburzyć wizerunku artystki, która jawiła mu się jako czysta i niewinna. Teraz wszystko runęło. Na nagraniach mężczyzna mówił, że kiedy usłyszał piosenkę *Big Time Sensuality*, czuł się zagrożony przez to, że Björk nie jest dziewczą i uprawia seks z innymi mężczyznami. Niedługo później Ricardo przeczytał w jednym z tabloidów, że Björk ma czarnoskórego kochanka. Aby poradzić sobie z tymi informacjami, Ricardo przyjął agresywną postawę. Na ścianach mieszkania wypisał rasistowskie teksty, wymierzone w partnera artystki. Na jednym z nagrani powiedział, że Björk mająca czarnoskórego kochanka, jest czymś nieakceptowalnym. W związku ze złością, jaką się w nim zrodziła, Ricardo wpadł na „cudownie sadystyczny plan”, co niezmiennie dokumentował w swoim dzienniku, jak i na nagraniach. Chciał oddać swoje cierplenie Björk.

z fanatyka do samobójcy

Na nagraniach Lopeza można zauważyc, jak z każdym momentem rosną w nim nienawiść i frustracja. W jego mieszkaniu zaś można było znaleźć książki, które opowiadały o seryjnych mordercach. Ich lektura zwiększyła jego samoświadomość. Zaczął się porównywać do znanych seryjnych morderców czy stalkerów. Dni mijały, a Ricardo zbierał niezbędne rzeczy do realizacji swojego planu, aż w końcu mu się to udało. Jego planem było wysłanie bomby do Björk. Bomba nie miała spowodować eksplozji, tylko chemiczne oparzenie całego ciała. Lopezowi łatwo udało się zdobyć kwas siarkowy, jedyne co zostało mu do zrobienia to skonstruowanie mechanizmu, który już wcześniej został zaprojektowany w jego dzienniku, a następnie wysłanie paczki. Oryginalnie planował wykorzystać kwas chlorowodorowy, jednak później stwierdził, że byłby on za słaby, a kwas siarkowy jest dwa razy bardziej toksyczny niż chlorowodorowy. Bomba była skonstruowana w taki sposób, że kiedy Björk otrzymałaby ją, po otwarciu rzekomego prezentu od jednej z dużych wytwórni całe jej ciało zostałoby oblane kwasem siarkowym. Mogło to doprowadzić do śmierci artystki przez dostanie się kwasu do dróg oddechowych lub sprawiłyby jej takie problemy, że nie chciałaby już dalej żyć.

Ricardo Lopez uważały, że jeśli udałoby mu się zniszczyć ciało Björk, a ona dalej by żyła, myślałaby o nim codziennie. Na ulicy, stojąc przed lustrem, leżąc w łóżku czy biorąc prysznic – ta wizja podniecała go. Wówczas to Björk miałaby obsesję na jego punkcie. Spekuluje się, że pomysł na bombę Ricardo wziął właśnie od samej piosenkarki, bowiem w teledysku do *Army of Me* pojawia się bomba. Kiedy wszystko było już gotowe, Ricardo udał się na pocztę, aby wysłać przesyłkę do Björk, której adres zdobył przez jakąś podejrzana firmę. Wszystko poszło jak z półka. Kiedy śledczy analizowali nagrania z kaset, zorientowali się, że od dnia nagrania tego jak Ricardo wysyła paczkę minęły cztery dni, a dojście paczki z Hollywood do Londynu zajmuje pięć dni. Oznaczało to, że zostało im mniej niż 24 godziny, aby przechwycić paczkę – na samą myśl o tej sytuacji można usłyszeć w głowie tykanie zegara.

Plan Ricardo dobiegał końca, paczka była na drodze do Björk i był pewny, że nic jej nie stanie na drodze, więc przeszedł do ostatniej fazy swojego planu, którą było odebranie sobie życia. Na samobójczym nagraniu miał ogoloną głowę i twarz pomalowaną na trzy różne kolory: czarny, czerwony i zielony, najprawdopodobniej dlatego, że pomagało mu to się zdepersonalizować, zdystansować od swojego wyglądu, to zaś ułatwiłoby mu odebranie sobie życia. Ricardo po długich i intensywnych przygotowaniach impulsywnie przyłożył pistolet do ust i strzelił sobie prosto w głowę przy akompaniamencie utworu *I Remember You* – oczywiście autorstwa Björk. Lopez umarł, myśląc, że udało mu się spełnić jego największe i zarazem jedyne marzenie w życiu. Jeśli udałoby się Richardowi zrealizować jego sadystyczny plan, byłby on już związany z Björk na wieczność. Imię Björk już nigdy nie byłoby takie samo, przez większość czasu ludzie mówiąc o niej, mówiliby także o Richardzie Lopezie, przykładem czego jest John Lennon i Mark Chapman.

Na szczęście do tego nie doszło. Śledczym udało się przechwycić bombę z kwasem siarkowym kilka godzin przed tym, jak miała trafić w ręce artystki, po czym została zabrana do bezpiecznego miejsca i zdetonowana. Sześć dni po samobójstwie Ricardo Lopeza Björk wysłała jego rodzinie list żałobny i bukiet kwiatów.

OSKAR WALCZAK

PACHNIEĆ JAK PŁATKI RÓŻ!

Jak pewnie większość z nas wie, dezodoranty czy antyperspiranty to środki chemiczne, które pomagają nam zwalczać dyskomfort związany z wydzielaniem potu. Jednak różnią się one od siebie. Antyperspiranty głównie zapobiegają wydobywaniu się potu. Dezodoranty zapobiegają rozkładowi bakterii powodujących nieprzyjemny zapach. Większość dzisiejszych produktów to „dwa w jednym”, oznacza to, że jeden produkt pełni obie funkcje. Warto jednak zastanowić się nad tym, kiedy ludzie wpadli na pomysł, by zacząć walczyć z nieprzyjemnym zapachem?

Kiedy mieszkaliśmy w jaskiniach i każdy dzień był walką o przetrwanie, mniej przejmowaliśmy się zapachem ciała. Zdaniem antropologów nieprzyjemny zapach służył jako mechanizm obronny, który miał odstraszać dzikie zwierzęta, aby nie stać się ich następnym posiłkiem. Dlatego nikt nie próbował się go pozbyć. W kolejnych etapach ewolucji, gdy zapach ciała nie był już potrzebny do obrony, ludzie stawali się bardziej kreatywni i eksperymentowały z różnymi naturalnymi składnikami, wymyślając nowe sposoby na zamaskowanie przykrego zapachu. Starożytni Egipcjanie, znani ze swojej innowacyjności, byli jednymi z pierwszych, którzy postanowili coś z tym zrobić. Poza znaną metodą perfumowanych kąpieli, wymyślili wiele innych skutecznych metod np. smarowanie się przyprawioną kadzidłami owsianką czy przecieranką ze strąków chleba świętojańskiego. Stworzyli również jedną z pierwszych receptorów o działaniu podobnym do antyperspirantu. Substancja ta miała formę pasty złożonej ze strusiego jaja i tłuszczu. Podobnie do wcześniej wspomnianych mikstur pasta ta kojarzyła się z luksuem, ponieważ służyła tylko do zamaskowania nieprzyjemnej woni. Starożytni Grecy z kolei, podążając w ślad za Egipcjanami, nieustannie kapali się i oblewali perfumami. Perfumy te były tworzone na bazie oleju z oliwek. Twórcy perfum zanurzali w nim aromaty, takie jak liście, korzenie i kwiaty. Jednak ciężko pracujący ludzie o niższym statusie społecznym nie myśleli o takich rzeczach. Rzymianie z kolei byli takimi fanami ładnego

zapachu, że nie tylko kąpali się w perfumach, ale także moczyli w nich swoje ubrania, oblewali nimi konie oraz inne domowe zwierzęta. Sprawy przybrały gwałtowny zwrot w średniowieczu, gdy nagle uznano, że nagość jest „zła” (nawet w wannie). Więc ludzie zaczęli się coraz rzadziej kąpać, a ci, którzy mieli pieniądze, próbowali zatuszować nieprzyjemny zapach perfumami. Praktyka ta trwała aż do XIX wieku. I oto w 1888 roku na rynku pojawił się pierwszy dezodorant pod nazwą *Mum* stworzony przez nieznanego dotąd nikomu wynalazcę z Filadelfii. Dezodorant ten miał formę pasty, którą nakładało się pod pachami. Wkrótce po nim, w 1903 roku, pojawił się *Everdry*, pierwszy skuteczny antyperspirant z chlorku glinu, który nacierało się bawełnianym wacikiem. Brudził on jednak ubrania, bardzo długo schnął i wywoływał u użytkowników „szczypanie”. Później okazało się, że było to spowodowane zawartym w dezodorancie kwasem karbowym, który uszkadza skórę i odzież. Ale przynajmniej ludzie się nie pocili... W połowie lat pięćdziesiątych wypuszczono zainspirowaną długopisem kulkowym rolkę *Ban*, a dziesięć lat później pierwszy aerozol *Right Guard*, który zapoczątkował wielomiliardowy przemysł. Z raportów wynika, że dziś, gdy mamy możliwość wyboru formy używanych przez nas produktów, 41% Polaków używa dezodorantów w kulce, a 1/3 Polaków decyduje się na preparat w sprayu. Jednak każdy, kto używa dezodorantów czy antyperspirantów, niezależnie od ich formy, jest na pewno doceniany przez otoczenie, przede wszystkim w ciasnych miejscach publicznych.

KAROLINA OSTOJA-OSTASZEWSKA

PŁATNOŚĆ TYLKO DOLAREM historia PEWEX-u

Nieważne czy w kinie, na ulicy czy przy rodzinnym stole, PRL i historie o tych czasach są nadal obecne w naszym społeczeństwie. W produkcjach filmowych coraz częściej pojawia się motyw sieci sklepów PEWEX. Nikt na to nie narzeka, w końcu lubimy słuchać historii o pierwszych dzisiejszych babci czy o kolejce, w której stał tata, żeby kupić gumę Donald. Jaka jednak kryje się historia za sklepem, w którym można było płacić tylko dolarami i kuponami? Co wyróżniało PEWEX na tle innych sklepów? Co łączy PEWEX-y i polską gospodarkę?

HISTORIA

Wszystko zaczęło się w 1973 roku, kiedy, żeby zacząć spłacać kredyty zza granicy, powstał pomysł przemiany sieci „PeKaO” w sklepy PEWEX. -X na końcu zamiast -KS miało podkreślać luksus i „egzotykę” sklepu. Zasadą w tych sklepach była płatność dolarami i kuponami, co pomagało spłacić kredyt państwa. Wcześniej za posiadanie dolarów groziła kara, zmiana tego nastawienia przez władzę również była nowością dla obywateli Polski Ludowej. Reszta jednak już bezproblemowo była wydawana w dolarach. Popularność i kult sieci „innych” sklepów bardzo szybko wzrosła – już w 1983 roku, zarobki sieci PEWEX wynosiły 250 mln dolarów.

FENOMEN PEWEX-ÓW

Co jednak wyróżniało PEWEX-y na tle innych sklepów, poza tym, że można było płacić tam inną walutą? Kiedy do każdego sklepu była dłuża kolejka, a do korzystania z wielu przywilejów były potrzebne talony, w sklepie z niebiesko-żółtym logo i dużą literą „P” kolejki były znacznie krótsze i każdy „z zielonym papierkiem” mógł posmakować tzw. Zachodniego smaku życia. Poza tym dużą zaletą była często wyjątkowo miła obsługa, co nie było spotykane w każdym sklepie. Znudzone, niechętne klientom ekspedientki były stałym elementem krajobrazu PRL. PEWEX-y miały też produkty znakomitej jakości, w dodatku estetycznie zapakowane.

CO MOŻNA BYŁO KUPIĆ?

To w tych sklepach były oczywiście produkty, o których posiadaniu marzyli Polacy. Każde dziecko śniło o lalce Barbie i gumie z kaczorem Donaldem, pod której papierkiem kryły się komiksy, a dorosli interesowali się bogatym wyborem alkoholi (największy dochód przynosiła wódka), niemieckimi stanikami oraz zagranicznymi papierosami takimi jak dzisiaj wszędzie dostępne Marlboro. Oczywiście najwięcej historii słyszeliśmy o dzisiejszych, które często były potem modyfikowane przez właścicieli – były przedzierane, namoczone wodą i pocierane cegłą, a wszystko po to, aby wyglądały na starsze. Na półkach sklepu najczęściej znajdująły się logo firm produkujących dzisiejsze Wrangler, Levi's czy jedyne w swoim rodzaju Rifle. Jednak największą sławą cieszyły się sprzęt AGD. Najpopularniejsze były produkty firmy Panasonic. Wielu mogło na nie tylko popatrzać – ceny przekraczały 600 dolarów, co nawet w dzisiejszych przeliczeniach jest dużą kwotą. Nasuwa się pytanie – czy ceny w PEWEX-ie były za wysokie? Zaskakująco nie. W tamtych czasach wielu Polaków miało problemy finansowe jednak w okolicach Wigilii lub innych okoliczności, kolejki do PEWEX-ów rosły, co dzisiaj możemy zobaczyć na przykład w filmie *Zupa nic* w reżyserii Kingi Dębskiej. Kiedy do Polski przyjeżdżali w czasach PRL dyplomaci, często zaglądali do tych sklepów właśnie z tego powodu, że cena produktów była o wiele tańsza niż na Zachodzie.

CINKCIARZE A PEWEX

Pozostając przy temacie pieniędzy i sklepu PEWEX, ciężko nie wspomnieć o krążących wokół cinkciarzach. Tak jak wspomniałam wcześniej, do Polski czasami przyjeżdżali turyści z innych krajów. Było to trudne jednak dla niektórych możliwe. W tych czasach kurs dolara był wysoki, a o znalezienie kantoru było trudno. Z tego powodu pod PEWEX-ami, często można było spotkać ludzi, których dzisiaj nazywamy cinkciarzami. Mówili oni słowa change money, czyli z języka angielskiego wymiana pieniędzy. To z tych dwóch słów składa się dzisiejszy „cinkciarz”, neologizm, który został wchłonięty przez polszczyznę, niosąc za sobą zapis tamtych czasów. Cinkciarze nie mieli problemów ze względem na swoją działalność, ponieważ dzielili się poufnymi informacjami o przyjezdnych z władzą.

PEWEX – POSTACIE I UPADEK

Niedawno w świecie kultury głośno było o filmie *Najmro*. Kocha, kradnie, szanuje. Film jest inspirowany historią Zdzisława Najmrodzkiego, który okrawał PEWEX-y oraz kradł auta marki polonez. Był nazywany „mistrzem ucieczek” i „królem złodziei”, ponieważ ucieczka z więzienia udała mu się aż 29 razy. Inną osobą, która również związana była z tą siecią sklepów, był Marian Zacharski, oficer polskiego wywiadu i biznesmen. To dzięki niemu w latach osiemdziesiątych PEWEX miał „dobrą pasję”. Po powrocie do kraju i zaangażowaniu się w życie sklepu, Zacharskiemu udało się negocjować oferty z zagranicznymi firmami, które później ściągały swoje produkty do Polski. Te akcje sprawiały, że nawet ruch w Warszawie diametralnie stawał się utrudniony. Po „złotej erze” powoli nastąpiły czasy upadku PEWEX-ów. Na początku, w 1993 roku, po 20 latach działania sklepu złotówka stała się wymienialną walutą. Potem zadłużenie i ciągnące się z przeszłością problemy związane z zadłużeniem w PRLu, również stały się przeszkodą do dalszego funkcjonowania. Kilka razy mówiono nawet o bankructwie, aż w końcu w 1997 roku firma Concorde Investissement przejęła ostatnie PEWEX-y. Później zostały podjęte próby utrzymania sieci sklepów, lecz żadna z nich się nie udała, aż po trzydziestu latach na rynku sklepy PEWEX zakończyły swoją działalność. Dzisiaj jednak nadal o nich pamiętam: istnieje sklep internetowy inspirowany PEWEX-em, oglądamy nowe produkcje filmowe, które opowiadają nam o tych czasach. Warto też czasami posłuchać tego, co najbliżsi mają nam do opowiedzenia o dzisiejszych i czekoladzie Toblerone ze sklepu, w którym płaciło się dolarami.

JULIA WIĘCH

POPATRZ NA SCENĘ CZŁOWIEKU

Czekasz w ciągnącej się za budynkiem kolejce ludzi. Pokazujesz swój bilet i wchodzisz do klubu, w którym odbywa się koncert. Biegiesz sprintem na płytę koncertową i z niecierpliwością czekasz na artystę. W międzyczasie poznajesz nowych ludzi lub zajmujesz się swoim świecącym prostokątem. Światła gasną, przez tłum ludzi zaczyna robić się duszno. Artysta wchodzi na scenę, wyciągasz z kieszeni telefon, rozpoczynając nim nagrywanie. Trzymasz go w ręce przez następną godzinę.

Wraz ze zwiększającą się liczbą koncertów, w których uczestniczyłam oraz wiadomości, które wymieniałam z redakcyjnym kolegą Jankiem, zauważałam jeden bardzo powszechny błąd popełniany przez co drugiego uczestnika koncertu. Coraz więcej ludzi swój koncert przeżywa, patrząc się w telefon, a ich wzrok jedynie od czasu do czasu skupia na czymś innym. Rzeczą jasna pochwałenie się znajomym w tych czasach tym, jak dobrze bawiliśmy się na koncercie lub imprezie, jest wręcz nierozerlączną częścią nas, czyli pokolenia generacji Z. Ale czy na tym to polega? Zamiast się bawić, zajmujemy swoją głowę myślą, czy jakość i dźwięk nagrania będą wystarczająco dobre.

Nie ciężko się dziwić, dlaczego jest tak, a nie inaczej. Przecież w swoim życiu uwieczniamy każdą chwilę, robiąc zdjęcia, nawet te związane z jedzeniem. Grzechem byłoby nie pochwalić się, co dobrego zjemy dziś na obiad. Ciężko nie przypisać racji, że widok ten staje się przerażający, kiedy wraz ze zgaśnięciem światła i początkowych basów z głośnika tłum ludzi podnosi dlonie nie po to, by przywitać artystę brawami, a jedynie w celu nakręcenia kilkuminutowego filmiku. Ma to czasem swoje plusy, na przykład, kiedy osoba nagrywająca nie kliknie przycisku „nagrywaj”, a i tak dumnie stoi z podniesioną ręką. Dzikie byłoby jej zwrócić uwagę, przecież to wcale nie nasza sprawa. Za to możemy cicho zaśmiać się pod nosem i szepnąć to osobie nam towarzyszącej.

Zauważałam, że uczestników koncertu da się podzielić na trzy różne grupy. Pierwsza z nich skupia się jedynie na dobrej zabawie, nie dbając o uszczerbek gardła, śpiewając teksty ulubionych piosenek. Ci ludzie nie czują potrzeby uwiecznienia koncertu, wszyscy zamieniają na wspomnienia. Drudzy wybierają kilka sekund ulubionej piosenki, robią parę zdjęć, a następnie chowają telefon do kieszeni, aby dać się ponieść unikatowym wrażeniom. Trzecia, a zarazem ostatnia, grupa to osoby, które skupią się wyłącznie na nagraniu wydarzenia. Według nich każda sekunda musi zostać uchwycona przez telefon, a oni sami nie skupią się na tym, co dzieje się wokół nich. Grupa ta inaczej nazywa jest „reporterami”. Reszta z uczestników niezbyt za nimi przepada, przede wszystkim dlatego, że blokują im miejsce do podskakiwania w rytm muzyki. Głównie to osoby, które chcą dotykać barierek i ich wiek jest stosunkowo młodszy od reszty widowni.

Cały temat wzbudził we mnie refleksję, więc postanowiłam dowiedzieć się, co sądzą o nim inni. Na swoim Instagramie udostępniłam relację, prosząc koncertowych świąrów (w tym swoich przyjaciół) o wyrażenie opinii o nurtującym mnie temacie. Jednogłośnie stwierdzili, że należą do opisanej przeze mnie grupy drugiej. Najczęściej zdarza im się nagrać dziesięciosekundowy filmik jedynie w formie pamiątki. Miło jest im po dłuższym czasie obejrzeć go i wspomnieniami wrócić do panującej wówczas atmosfery, ludzi i własnej osoby. Odpowiedzieli, że stojąc przy barierkach tuż pod sceną, wolą nawiązać kontakt z artystą niż patrzeć na niego przez szklaną szybkę telefonu. Pojawili się też zdania osób, które deklarowały, że postarają się ograniczyć trzymanie urządzenia w ręce i oddadzą się show w stu procentach. Pozwoli im to poczuć coś więcej niż tylko euforię. Pojawią się wzruszenie i łzy – głośno trzeba powiedzieć, że nie ma nic w tym złego. Ale nie ma innej możliwości doświadczenia tego niż ta, kiedy nasz telefon znajdzie się w kieszeni.

Skoro mówimy o widzach, trzeba wspomnieć też o samym artyście. Mało osób zastanawia się nad tym, jak może czuć się osoba występująca na scenie, w której stronę tuż po wyjściu kierowane jest tysiące telefonów i fleszy z aparatów. Na pewno jest to dla nich stresujące. Z tytułu głowy mogą myśleć, że każde ich *faux-pas* zostanie wrzucone do Internetu. Stąd też zasada, którą trzymać na koncertach muszą się akredytowani fotografowie: *3 songs, no flash*. Wielokrotnie takie sytuacje miały miejsce na przykład w przypadku popularnej sytuacji z Sobolem, kiedy jeden z fanów wbiegł na scenę. W Internecie zaczęły tworzyć się przeróżne memy, a na samego Sobla spadła ogromna fala hejtu. Stąd też może decyzja niektórych artystów proszących o nienagrywanie i oddanie się atmosferze trasy koncertowej, jak i oddanie szacunku występującemu artyście. Takie działania wspierają między innymi Dawid Podsiadło czy Ralph Kamiński. Mimo to niektórzy z publiczności i tak wolą dumnie trzymać aparat w dłoni.

Ten artykuł nie ma na celu pouczania nikogo, kogo zachowanie różni się od tego, które zostało opisane w powyższym tekście. Można potraktować go w sposób obojętny, zainteresować się tematem, patrząc na własną postawę lub polecić go komuś kto pragnie zostać jednym z uczestników koncertów. To przede wszystkim analiza ludzkich zachowań. Jeżeli jednak nie zgadzasz się z tym, co zostało przedstawione, chętnie możemy o tym porozmawiać przy kawie lub w kolejce na koncert.

NATALKA WALESIENIUK FOT. NATALKA WALESIENIUK

EXTREME METAL, indie rock, gatekeep i elityzm - rozmowa z HELLFIRE

„Old schoolowy metal umarł!” – zgadzając się z tak absurdalnie śmiesznym stwierdzeniem, człowiek zakłada sobie klapki na oczy, nie widząc tego, że „stara szkoła” dalej ciągnie. Dzieje się to dzięki temu, że w podziemiu nowe pokolenie muzyków kontynuuje spuściznę pozostawioną przez swoich poprzedników. Dobrym przykładem owego zjawiska jest chociażby Hellfire Crypt – artysta realizujący solowy projekt z Polski, wykonujący *extreme metal* rodem z lat 80. W naszej krótkiej rozmowie rozmawialiśmy o wszystkim – od kwestii okołoprojektowych i muzycznych, przez inspiracje twórcze i sceniczny wizerunek Hellfire'a – do zjawisk gatekeepu i elityzmu.

JAK SIĘ CZUJESZ Z FAKTEM, ŻE ZARAZ MINIE ROK DZIAŁALNOŚCI HELLFIRE CRYPT?

Hellfire: Praktycznie o tym zapomniałem. Jednak za niedługo zamierzam powrócić tam z nowym singlem i trochę odświeżyć styl.

„ZAPOMNIAŁEŚ” PRZEZ CO?

Dawno nie nagrywałem nic na poważnie, jeśli chodzi o metal.

WSPOMINAŁEŚ KIEDYŚ O PROJEKCIE INDIE-ROCKOWYM.

Choć nigdy nie dokończyłem żadnego numeru z tego projektu, to na moim laptopie znajduje się około 50 demówek. W najbliższym czasie, oprócz powrotu HF, zamierzam rozpocząć działalność pod szyldem tego nienazwanego projektu.

CZYLI SIĘ DZIEJE TROCHĘ. WRÓĆMY DO TEMATU HF, KTÓRE ZAŁOŻYŁEŚ, GDY GRAŁEŚ W ZESPOLE SACRIFICAL FLAME. DLACZEGO ZDECYDOWAŁEŚ SIĘ NA PROWADZENIE SOLOWEJ DZIAŁALNOŚCI MUZYCZNEJ?

Bo jest znacznie prostsza. Przynajmniej, jeśli chodzi o sprawy związane z pisaniem i nagrywaniem utworów. Z *Sacrificial Flame* sprawa wyglądała tak, że ciągle pojawiały się nowe pomysły na temat tego, co mamy grać. Pod koniec 2021 roku oficjalnie zdecydowaliśmy na nieco urozmaicony pierwszofalowy black metal, a mniej więcej dwa tygodnie później wzięliśmy się za pisanie pierwszych utworów.

CZYLI JESZCZE OD SACRIFICAL FLAME MOŻNA SIĘ CZEGOŚ SPODZIEWAĆ... WSPANIALE. A SKĄD POMYSŁ, ŻEBY PROJEKT NAZWAĆ HELLFIRE CRYPT, A NIE INACZEJ?

Hellfire Crypt to nazwa studia oraz kanału na YouTube. Projekt nazywa się Hellfire. Kiedy w wieku 13 lat wpadłem na pomysł, żeby zacząć grać samemu, chciałem wymyślić prostą, chwytną i kojarzącą się z tym co miałem grać nazwę. Po chwili namysłu wpadłem na pomysł, żeby nazwać projekt Hellfire, a także używać tej nazwy jako pseudonimu. Mniej więcej rok później dowiedziałem się, ile zespołów i projektów nosi nazwę *Hellfire*...

POD JEDNYM Z TWOICH NAGRAŃ NA YOUTUBE ZNALAZŁ SIĘ NAWET KOMENTARZ Z TAKĄ UWAGĄ.

Nie wiem, czy ten człowiek zdawał sobie sprawę, ile zespołów/projektów nosi nazwę *destruction*.

DEFINITYWNIE WIĘCEJ. DWA ALBUMY HC WYDAŁEŚ W CIĄGU DWÓCH MIESIĘCY. TROCHĘ INTENSYWNIE. JAK WYGLĄDAŁ PROCES PRZYGOTOWANIA MATERIAŁU?

Albumy powstały w odstępie kilku miesięcy, natomiast opublikowałem je w tak niewielkim odstępie ze względu na fakt, że nie lubię się bawić w zmuszanie ludzi do długiego wyczekiwania na mój album. Z resztą jestem artystą będącym w podziemiu do tego stopnia, że raczej nikogo to nie obchodziło.

MIEJMY NADZIĘJĘ, ŻE Z NIEGO KIEDYŚ WYJDZIESZ. JESTEŚ WOKALISTA, BASISTĄ I GITARZYSTĄ, MAM RACJĘ?

To prawda, ale głównie zajmuje się grą na basie.

A W HC JESTEŚ TYLKO TY, ALE NA WSZYSTKICH TWOICH WYDANIACH JEST TEŻ OBECNA PERKUSJA. WYJAŚNISZ?

Nie umiem grać na perkusji, więc korzystam ze wszystkich możliwych sposobów by pozyskać odpowiednią ścieżkę bębnow do utworów HC.

TO PRAWDA, ŻE DO NUMERU HELLFIRE CRYPT UKRADŁEŚ JE?

Jest to prawda, ale ostatnio „kradzież” bębów zdarza mi się rzadko. Można nawet powiedzieć, że przestałem je kraść. Wtedy po prostu nie miałem możliwości, żeby pozyskać ścieżki perkusji, a jakoś musiałem sobie poradzić.

KIEDY SŁUCHAŁEM HELLFIRE CRYPT, JAK I CAŁEGO ALBUMU THE END AND THE BEGINING, UDERZYŁ MNIE MOCNY VIBE LAT 80. CHCIAŁEŚ, ABY TAK BYŁO, CZY TO WYSZŁO PRZYPADKIEM?

Można powiedzieć, że obie odpowiedzi są poprawne! Kiedy nagrywałem ten album, miałem kiepskie umiejętności producenckie, ale z drugiej strony od początku wiedziałem, że „idealna” jakość dźwięku nie będzie mi potrzebna, bo chciałem grać coś, co można określić jako Old School Extreme Metal.

W TYM CAŁYM VIBE'IE – MIMO ORYGINALNOŚCI BRZMIENIA, SŁYCHAĆ SKROMNE WPŁYWY VENOMU, BURZUM I DIAMOND HEAD.

Na pewno do Venomu nawiązuje surowe brzmienie płyty. Muzyka Diamond Head może przyprowadzić na myśl bardziej heavymetalowe fragmenty płyty. Natomiast świadomie nie nawiązywałem do muzyki projektu Varga Vikernesa.

A SKĄD POMYSŁ, ŻEBY PŁYTĘ NAZWAĆ TAK, A NIE INACZEJ?

Pomysł na nazwę albumu wziąłem od tytułu najdłuższego utworu na płycie – prawie dwunastominutowego *End And The Beginning*. Natomiast pomysł na tytuł utworu wpadł mi do głowy zupełnie przypadkiem, nie do końca pamiętam w jakich okolicznościach.

NA NASTĘPNYM ALBUMIE HC – MADMAN – POSZEDŁEŚ BARDZIEJ W STRONĘ PUNKA. NIE WOLAŁBYŚ IŚĆ ŚCIEŻKĄ WYTYCZONĄ PRZEZ TEATB? CHYBA, ŻE MADMAN PISAŁEŚ SPONTANICZNIE I TO, DLA TEGO RÓŻNI SIĘ ON OD POPRZEDNIKA?

Jeśli uda mi się nagrać trzeci album Hellfire Crypt, to również będzie się on różnił od poprzednika, a jednak będą mieć jakiś wspólny mianownik. Jeśli miałbym nagrywać cały czas w tym samym stylu, prawdopodobnie przedżej czy później zacząłbym tworzyć utwory będące autoplagiatami.

BĘDZIE TO COŚ W STYLU BLOWING WIND, KTÓRY NA TEN MOMENT JEST NAJNOWSZYM WYDANIEM SPOD TWOJEGO SZYLDU?

W żadnym wypadku. To już nie było by to, co reprezentuje sobą muzyka Hellfire. Inny słowy – *Blowing Wind* i Hellfire Crypt to dwie zupełnie różne opowieści, które mają tego samego pisarza, ale nic poza tym ich nie łączy.

CZYLI BLOWING WIND BYŁ TAKĄ ODSKOCZNĄ OD POPRZEDNICH. COŚ MIAŁO WPŁYW NA TO?

Blowing wind to projekt, którego raczej nie będę kontynuował. Kiedyś wymyśliłem riff, który idealnie pasował do tej folkowej atmosfery, a raczej nie wydalibyśmy tego pod szyldem Hellfire.

SPECJALNIE NIE ZADAWAŁEM ZBYTNIO PYTANIA O GUST MUZYCZNY, BIORĄC POD UWAGĘ DUŻO KONTRASTÓW WIDOCZNYCH W TWOJEE TWÓRCZOŚCI, BY ZOSTAWIĆ JE NA TEN MOMENT. A WIĘC PYTANIE IDIOTY - CZEГО SŁUCHASZ?

Jeśli chodzi o metal, to w tej chwili sięgam najczęściej po klasykę w postaci Venom, Sodom, Bathory, Black Sabbath, Burzum, KAT, Turbo, Mercyful Fate, Tokyo Blade i... TOOL. Ale mój gust nie ogranicza się do metalu. Często zdarza mi się słuchać wielu podgatunków rocka, a także openingów z anime, jazzu, muzyki klasycznej oraz muzyki filmowej.

TOOL I OPENINGI? JESZCZE WIĘCEJ KONTRASTÓW... A Z ODWIECZNE KRYTYKOWANEGO PRZEZ METALOWCÓW MAINSTREAMU JEST COŚ?

Jeśli mówisz ogólnie o mainstreamowej muzyce, to mam słabość do Måneskin. Czasami zdarza mi się też posłuchać Billie Eilish. Wspomnę też, że od naprawdę wczesnego dzieciństwa jestem fanem Gorillaz.

CI WYKONAWCY MIĘDZY INNYMI POPCHNĘLI CIĘ W STRONĘ PROJEKTU INDIE-ROCKOWEGO?

Poniekąd. Choć z wyjątkiem niektórych utworów Gorillaz żaden z nich nie ma z indie rockiem wiele wspólnego.

ZAJĄŁEM CI WIĘCEJ CZASU, NIŻ ZAMIERZAŁEM, WIĘC NA ZAKOŃCZENIE PYTANIE Z INNEJ KATEGORII. W ŚRODOWISKU FANÓW MOCNIEJSZEGO BRZMIENIA WYSTĘPUJE CZEŚĆ TAKIE ZJAWISKO JAK GATEKEEP I OSOBNICY TZW. ELITIST. Z PUNKTU WIDZENIA NIE TYLE FANA, CO MUZYKA WYPowiedz SIĘ NA TEN TEMAT.

Nigdy nie zostałem dotknietym tym zjawiskiem, mimo że mam niecałe 15 lat, a właśnie osoby w moim wieku są najczęściej „ofiarami” irytujących ludzi wrzeszczących: WYMIEN TRZY ALBUMY! Uważam, że tacy ludzie mogą zniechęcić młodych słuchaczy do kontynuowania przygody z gatunkiem. Natomiast irytuję mnie osoby, które po tygodniu słuchania na przykład Bathory'ego, od razu wydają sporo pieniędzy na merch, żeby ludzie widzieli, jakiej to ciężkiej muzyki słuchają. Mimo iż wkurza mnie taka postawa, to zachowuję swoje zdanie na ten temat dla siebie.

MORIAR

KRWAWY KATAR,

KORUPCJA I NIELUDZKIE WARUNKI - CZYLI WSZYSTKIE GRZECHY FIFA

Przez ponad 100 lat FIFA dzieli i rządzi w piłkarskim świecie. Na przestrzeni lat francuskiej organizacji udało się stworzyć międzynarodowy system zrzeszający wszystkie reprezentacje i większość światowych lig. Dzięki pobieranym od największych klubów sporym opłatom organizacja rozwija mniejsze ligi oraz organizuje wielkie turnieje. Dolóżmy do tego ogromne zyski związane z popularnością tego sportu i dostaniemy ogromną korporację, która zapewnia rozwój i możliwości zawodnikom i ligom z całego świata. Co może pójść nie tak?



FIFA WORLD CUP Qatar2022

FIFA względową moralną nieskazitelność zachowała aż do 2014 roku. Skandale zdarzały się rzadko, a jeśli już się pojawiały, to były niewielkie i szybko je uciszano. Jednak tym razem było zupełnie inaczej. FIFA wszczęła śledztwo w sprawie nieściśłości w wyborach gospodarzy wielkich turniejów oraz sprzedaży praw telewizyjnych. Oskarżonych zostało ośmiu działaczy, w tym sam prezes Joseph Blatter. Prokuratura dowiodła winy oskarżonych, głównie w sprawie wyboru gospodarzy Mundialów 2018 i 2022, który odbył się w 2010 roku. Nieprzypadkowo MŚ 2018 były w Rosji, a 2022 odbędą się w Katarze. Przedstawiciele tych federacji grubo płacili za takie właśnie wyniki. Mundial przyniesie rozgłos państwu, wypromuje turystykę i zapewni zyski. Pomimo wyników śledztwa amerykańskiej prokuratury Kreml dalej utrzymuje, że Rosja otrzymała Mundial w sposób całkowicie legalny.

W grudniu 2022 roku rozpoczęła się MŚ w Katarze. Dlaczego akurat w grudniu, skoro Mundial zawsze rozpoczynał się w lipcu? Bo katarskie warunki latem zwyczajnie nie nadają się do uprawiania sportu. Co w tym złego? Turniej będzie kolidował z sezonami ligowymi, przez co zawodnicy nie dość, że nie będą mieli czasu na regenerację, to nie odbędą trzytygodniowego zgrupowania, na czym znacząco ucierni jakość turnieju. Katarczycy rozpoczęli budowę stadionów i infrastruktury pod turniej w zeszłym roku. Jak się szybko okazało, katarskim władzom bardzo zależy na zaprezentowaniu kraju przed milionami widzów. Wszystko jest budowane z przepychem, a organizatorzy nie liczą się z kosztami. Jednak cena sukcesu podczas mistrzostw nie dotyczy tylko zainwestowanych pieniędzy. Codziennie tysiące osób haruje w niemiłosiernym upale. To oczywiście niewolnicy. Budowy nie są zabezpieczone, ofiary są liczone w dziesiątkach tysięcy. Według oficjalnych statystyk podaje się, że do tej pory zginęło prawie 100 osób, nieoficjalnie liczba ta jest znacznie większa. Co na to FIFA? Oczywiście nic. Skandal nie jest na rękę organizatorom, kasa musi się zgadzać. Kogo by obchodziło 10 tysięcy ludzi w tę czy w tamtą?

Przez lata Mistrzostwa Świata były organizowane co 4 lata, tak samo jak Mistrzostwa Europy. Tradycja trwająca prawie 100 lat, która jest integralną częścią tego sportu, może zostać zniesiona przez prezesa FIFY Gianniego Infantino. Od 2026 roku Mundial miałby być rozgrywany co 2 lata i brałoby w nim udział 48 drużyn. Rosącym problemem zawodników jest zbyt napięty terminarz. Rozgrywek jest coraz więcej i więcej, czołowi piłkarze grają co dwa, trzy dni. Piłkarze są nadmiernie eksplotowani, są coraz bardziej kontuzjoniści, kluby popadają w kryzys. Piłkarze protestują, również w mediach, ale FIFA nic sobie z tego nie robi. To nie koniec problemów z projektem Infantino. Jedna z wizji zakłada mecze reprezentacyjne rozgrywane tylko w jednym miesiącu, co zabraloby selekcjonerom możliwość testu kadry na przestrzeni roku. Federacje z Europy i Ameryki Południowej nie wyrażają zgody na taki układ, jednak mniej zamożne reprezentacje, głównie z Afryki i Azji, bardzo chętnie na to pójdą. Dodatkowe środki, czyli 24 miliony, które FIFA oferuje reprezentacjom ją popierającym, znacząco wpłyną na rozwój uboższych federacji. Drużynom z Europy i Ameryki Południowej, które mają inne zaplecze finansowe, bardziej zależy na jakości i tradycji. Jedni i drudzy kierują się interesem federacji. Jedynym antagonistą w tej sytuacji jest FIFA.

Infantino niedawno wypłynął w mediach swoją absurdalną i skandaliczną wypowiedzią podczas jednej z konferencji. Szwajcar, broniąc projektu, powiedział, że Mundial co 2 lata poprawi sytuację migracyjną Afryki i że Afrykańczycy zasługują na lepsze życie. Piękne zdania, które nijak się mają do rzeczywistości. Infantino otwarcie kpi z kryzysu migracyjnego i próbuje wybielić swój bezsensowny projekt. Jedyne co ów projekt przyniesie to więcej pieniędzy FIFIE.

Wydaje się, że sytuacja jest bez wyjścia. Światowy hegemon ma nie tylko monopol, ale i poparcie kibiców. Najlepiej pokazała to próba zmiany obecnej sytuacji, jakiej podjął się prezes Realu Madryt, Florentino Perez, wraz z prezesami innych czołowych klubów europejskich. W kwietniu 2021 roku powstała Superliga – projekt według którego 15 topowych klubów (12 założycielskich, 3 dołączające) miało rywalizować co tydzień na najwyższym światowym poziomie w rozgrywkach mających zastąpić Ligę Mistrzów. Zarządcami tych rozgrywek byliby prezesi samych klubów. Natychmiast po ogłoszeniu tego przez Florentino Perea rozpoczęła się ogromna nagonka medialna. Strony, portale, a nawet pojedynczy użytkownicy wrzucali plansze i hasztagi bojkotujące projekt. Pod stadionami klubów wybuchały zamieszki, kierowano groźby w stronę założycieli. Według wszystkich Superliga zabiłaby romantyzm futbolu poprzez brak możliwości awansu do niej mniejszych klubów. Tę narrację natychmiast podjęła UEFA (europejski oddział podlegający FIFIE). Ogłoszono, że zawodnicy grający w Superlidze nie będą mogli reprezentować swoich drużyn narodowych! Groźba ta, w połączeniu z protestami kibiców spowodowała, że w przeciągu trzech dni od powstania projektu 9 klubów założycielskich wycofało się z projektu, tym samym go zagrzebując. Patrząc z perspektywy czasu, dostrzegamy wiele plusów projektu. Rozwiązałby problem przemęczenia piłkarzy, to kluby decydowałyby, co jest dla nich najlepsze i nie musiałyby płacić FIFIE ogromnych kwot za transmisje telewizyjne. Czyli czego by było mniej? Pieniędzy dla FIFY. A do tego dopuścić nie można.

GUSTAW SZASZKIEWICZ

MY LUCKY NUMBER, CZYLI NUMERY W SPORCIE

Cyfry, numery są obecne na co dzień w naszym życiu. Wiążą się z nimi różne historie. Nie od dziś wiadomo, że 13 jest pechowa, a piątek 13 jest najbardziej pechowym dniem w roku. W Chinach pechową liczbą jest 4 oraz wszystkie liczby zawierające czwórkę, gdyż czyta się ją podobnie jak słowo „umierać”. Osoby religijne obawiają się liczby 666, gdyż ta uznawana jest za liczbę Bestii. Oczywiście znane są też szczęśliwe liczby, na przykład 7. Jednak czy te przesady mają przełożenie na sport? Czy 13 jest pechowym numerem w różnych dyscyplinach i czy zawodnik z numerem 00 na koszulce nigdy nie trafi do kosza?

NUMER, CZYLI KTO, GDZIE STOI NA BOISKU

W futbolu niektóre numery są przypisane do pozycji zawodnika. W taki sposób przyjęło się, że bramkarz ma numer 1, lewy obrońca gra z numerem 3, prawy z 2, natomiast środkowi obrońcy z numerami 4 i 5. Defensywny pomocnik spotkania rozgrywa z numerem 6, środkowy z 8, a pomocnik ofensywny, inaczej rozgrywający, gra z 10 na koszulce. Linia ofensywna to prawoskrzydłowy z numerem 7, lewoskrzydłowy z numerem 11 i napastnik z 9. Reguła związana z numerami przypisanymi do konkretnej pozycji jest jednak umowna i symboliczna oraz wzbogaca słownik piłkarski, pozwalając nazywać napastnika „dziewiątką”, rozgrywającego „dziesiątką” czy bramkarza „jedynką”. Tak naprawdę zasada numerów przypisanych do pozycji była powszechnie używana przed latami 90-tymi, gdy zgodnie z przepisami piłkarskimi można było wyłącznie używać numerów od 1 do 11. Mialo to ułatwić sędziom oraz kibicom rozróżnianie zawodników, ponieważ wtedy jeszcze nikt nie wpadł na pomysł umieszczania nazwisk piłkarzy na plecach ich strojów! Obecnie na koszulkach zawodników nie tylko widnieją ich nazwiska, lecz także można używać numerów mieszących się w zakresie od 1 do 99. Zatem podczas meczu wciąż nie spotkamy na boisku piłkarza z – też uchodzącym za szczęśliwy – numerem 102.

BRAMKARZ, CZYLI NUMBER ONE

Reguła z numerami przypisanymi do pozycji jest coraz bardziej symboliczna. Bramkarze nie zawsze występują z numerem 1. Alisson Becker (Liverpool F.C.) w swoim debiutanckim sezonie na Anfield Road występował z numerem 13. I to właśnie z trzynastką na plecach Alisson zdobył z The Reds puchar Ligi Mistrzów, najważniejsze trofeum piłkarskie rozgrywek klubowych w Europie. Ostatecznie jednak, by uhonorować bramkarza, klub wręczył mu bluzę z numerem 1. Z numerem 22 w reprezentacji Polski grał bramkarz Łukasz Fabiański, który jako „dwudziestka dwójka” doszedł z kadrą aż do ćwierćfinału Euro 2016. Podobnie jak Alisson, z 13 na plecach występuje słoweński golkiper Jan Oblak (Atletico Madryt), który wygrywając ze stołeczną drużyną hiszpańską ligę, pokazał, że „trzynastka” nie przynosi pecha.

MEDIOLAŃSKA KLĄTWA

Zatem czy w piłce nożnej są jakieś numery objęte klątwą? Okazuje się, że tak. W A.C. Milan dziewięć lat trwała klątwa numeru 9. Po odejściu z Milana legendarnej „dziewiątki”, Filippo Inzaghiego, numer przejął Brazylijczyk Alexandre Pato. Dość powiedzieć, że teoretycznie bramkostrzelny Pato zdobył dla Rossoneri tylko dwie bramki. Z numerem 9 w Milanie grali także Alessandro Matri (2013), Fernando Torres (2014), Mattia Destro (2014), Luiz Adriano (2015), Gianluca Lapadula (2016), Andre Silva (2017), Gonzalo Higuain (2018) oraz Polak, Krzysztof Piątek (2019). Jak więc widać, numer ten miał charakter przechodni. Obecnie kryzys numeru 9 w Milanie wygląda na zażegnany, gdyż od lata 2021 roku w drużynie z Mediolanu z dziewiątką gra francuski napastnik Olivier Giroud, który prezentuje, jak na mistrza świata przystało, dobrą formę.

Z OJCA NA SYNA

Z drużyną z mediolańskiego stadionu San Siro wiąże się jeszcze jedna ciekawa historia dotycząca numerów. Mianowicie dwa numery są tam zastrzeżone na wieczne czasy. Mówimy o numerach 3 i 6. Numer 6 należał do wielokrotnego kapitana Rossoneri, obrońcy Franco Baresiego, a numer 3 do kolejnego wielokrotnego kapitana, również obrońcy, Paolo Maldiniego. Klub zastrzegł oba numery z szacunku do zawodników oraz by uczcić ich wieloletni staż na San Siro. Jednak w przypadku Maldiniego i numeru 3, znajduje się pewna furtka. Mianowicie jeśli, któryś z synów obrońcy, Daniel lub Christian będą odgrywać ważną rolę w drużynie z Mediolanu, to będą mogli przyjąć numer po tacie. Bliżej dostąpienia tego zaszczytu jest młodszy syn Daniel, który obecnie powoli wchodzi do pierwszej drużyny A.C. Milan.

HISZPAŃSKA KONSEKWENCJA

Zastrzegać numerów nie mogą drużyny i zawodnicy z ligi hiszpańskiej. Według przepisów La Liga kadra klubowa musi składać się z 25 piłkarzy występujących z numerami od 1 do 25. Dlatego też legendarny numer 10 w F.C. Barcelona, noszony przez takich gwiazdorów jak Diego Maradona, Ronaldinha czy Lionel Messi, nigdy nie będzie zastrzeżony, ponieważ Barca musiałaby powoływać na sezon jednego zawodnika mniej. Podobnie sytuacja wygląda u największego rywala Blaugrany – Realu Madryt. W drużynie z Madrytu hołd nie może być oddany numerowi 7, z którym w Los Blancos występowali Raul czy Cristiano Ronaldo.

NUMER, NAZWISKO, MARKA

Skoro padło już nazwisko portugalskiej legenды Realu, należy powiedzieć o tym, jak wielkimi znakami towarowymi są numery sportowców. Cristiano Ronaldo jest znany również jako „CR7” (inicjały piłkarza oraz numer na koszulce). CR7 to dziś między innymi marka odzieżowa należąca do Portugalczyka. Podobnie Robert Lewandowski (Bayern Monachium) jest znany jako „RL9”. Polski superstrzelec, we współpracy z firmą 4F, wykreował linię odzieży sportowej oznaczonej logotypem „RL9”. W Warszawie od niedawna można odwiedzić restaurację należącą do wybitnego zawodnika. Restauracja nazywa się, a jakże, NINE’s („U Dziewiątki”). Jeśli ktoś nie wybiera się na warszawską Wolę do NINE’s, to po drugiej stronie ul. Czerniakowskiej, dokładnie naprzeciwko naszego liceum, może odwiedzić pomnik innego piłkarskiego bohatera, Kazimierza Deyny. Po Deynie już nikt nie zagra w barwach Legii z numerem 10 na koszulce.

DWUNASTY ZAWODNIK NA TRYBUNACH

Niekiedy pewien numer jest też zarezerwowany dla kibiców klubu, którzy są traktowani jako dwunasty zawodnik. Z tego powodu w Lechu Poznań, Widzewie Łódź czy Bayernie Monachium żaden zawodnik biegający po boisku nie otrzyma numeru 12,

gdyż jest on symbolicznie przypisany zagożdałym fanom tych klubów.

AMERYKAŃSKA FANTAZJA

Zastrzeganie numerów w sportach narodziło się w amerykańskiej lidze koszykarskiej NBA. Jako przykład można wskazać sześciokrotnego mistrza tych rozgrywek, czyli Chicago Bulls. „Byki” zastrzegły cztery numery. 4 Jerry’ego Sloana, 10 Boba Love’a, 23 Michaela Jordana i 33 Scottiego Pippena. Ci dwaj ostatni brali udział we wszystkich sześciu ligowych triumfach drużyny, w latach 1991–93 oraz 1996–98. W tym przypadku klub również chciał uhonorować wielkie legendy koszykówki. Mówiąc Chicago Bulls, wielu z nas wciąż myśli o Michaelu Jordanie, będącym bezdyskusyjnie najlepszym koszykarzem w historii tego sportu (a może nawet najlepszym sportowcem w dziejach). Jordan w drużynie z Chicago występował z numerami 23 oraz 45. Numer 23 wybrał jeszcze za czasów gry w szkolnej drużynie Laney High School. W tej drużynie duet braci Jordan występował z numerami 23 i 45. Michael wybrał numer 23, ponieważ był... najbliższym numerem połowy numeru starszego brata, Larry’ego. Obecnie numer 23 jest dla legendy (obok słynnego Jumpmana) prawnie chronionym znakiem

24.08

Z kolei najlepsza drużyna w historii NBA, siedemnastokrotny mistrz rozgrywek, Los Angeles Lakers, zastrzegła aż 11 numerów, m.in. 8 i 24 Koby’ego Bryanta, 32 „Magic” Johnsona, 33 Kareema Abdula-Jabbara czy 34 Shaquilla O’Neala. Kobe Bryant zginął tragicznie w katastrofie śmigłowca w Kalifornii 26 stycznia 2020 roku. Od tego czasu co roku 24 sierpnia (24.08) fani LA Lakers oddają hołd tragicznie zmarłemu zawodnikowi. Wybrano akurat ten dzień, gdyż data stanowi kombinację numerów noszonych przez zawodnika (24 oraz 8).

MAGIA WIELKICH LICZB

Koszykówka (jak właściwie wszystkie sporty wywodzące się z USA) słynie z bardzo wysokich numerów. 45 Jordana czy 91 Dennisa Rodmana (Chicago Bulls) pokazują, że mówimy nie tylko o wielkich – dosłownie i w przenośni – zawodnikach, ale też rzeczywiście „wielkich liczbach”. To z koszykówki i hokeja (amerykańsko-kanadyjska liga NHL) wzięły się wysokie numery na przykład w piłce nożnej. Przykładem jest tu 99 Arkadiusza Milika za czasów jego występów w SSC Napoli w latach 2016–2021. Nikogo już też nie dziwi numer 66 Trenta Alexandra-Arnolda (Liverpool F.C.) czy 77 Gianluigiego Buffona podczas jego drugiej przygody w Juventusie Turyn w latach 2019–2021. Co ciekawe, chociaż Buffon jako bramkarz przez większość kariery występował jako tradycyjna „jedynka”, to jednak nie wzbraniał się przed występami z innym numerem na dresie.

FORMUŁA JEDEN

Bardzo ciekawa sytuacja ma miejsce w Formule 1. W tym elitarnym sporcie, uprawianym przez 20 zawodników na świecie, mistrz świata może zmienić swój numer na numer 1. Tak postąpił Holender Max Verstappen (Red Bull Racing), który zamienił numer 33 na numer 1. Co ciekawe, przesądni kierowcy F1 niechętnie zmieniają swoje numery w trakcie kariery. Numeru na bolidzie nie zmieniał siedmiokrotny mistrz świata tej dyscypliny, jeden z najbardziej utytułowanych kierowców F1 w historii, sir Lewis Hamilton. 37-letni Brytyjczyk, odkąd zaczął jeździć w dziecięcych gokartach, jest związany z numerem 44 i nigdy nie zmienił go na żaden inny.

„OCZKO”

Numerów nie spotykamy w tenisie, jednak wielką trójkę męskiego tenis (Rafa Nadala, Novaka Djokovica i Rogera Federera) łączyła do niedawna liczba 20. Każdy z nich miał po tyle zdobytych tytułów wielkoszlemowych. Zmieniło się to w tym roku: podczas Australian Open Rafael Nadal wygrał swój 21 tytuł wielkoszlemowy. Rafa zdobył więc symboliczne „oczko”.

CR7

W sporcie mamy zatem wiele numerów, które dzięki swoim dokonaniom, sportowcy uczynili legendą. Z niektórymi numerami wiążą się wielkie historie od samego początku, „kariera” innych bywa dziełem przypadku. Przede wszystkim sami sportowcy uznały symbolikę tych liczb. Gdy Cristiano Ronaldo wrócił w 2021 roku do Manchester United, jego ukochana „siódemka” była już w drużynie „Czerwonych Diabłów” zajęta. Niemniej Urugwajczyk Edinson Cavani, uznając zasługi wielkiego Cristiano, oddał mu klubowy numer. Tym sposobem CR7 jest nadal CR7.

GM22

Moją ulubioną liczbą jest liczba 22, ponieważ urodziłem się 22.09.

Natomiast w szkole mam w dzienniku numer 16.

STARY MOKOTÓW

historia i nowoczesność

FOT. FOTOPOLSKA.EU LUTY 1938



Na pierwszym i drugim piętrze znajdują się nowoczesne powierzchnie biurowe. Jest tam również kawiarnia „Dobroczynna”, do której warto się wybrać, nie tylko by napić się kawy, lecz by od środka zobaczyć mokotowski modernizm. Na elewacji od strony skrzyżowania na kolumnie znajdują się ślady po kulach z czasów powstania warszawskiego. Ulica jest podzielona na trzy odcinki różniące się zabudową – wschodni zabudowany jest kamienicami, środkowy domami jednorodzinnymi (układ urbanistyczny tej części jest wpisany do rejestru zabytków), zaś zachodni blokami mieszkalnymi. Przy ul Dąbrowskiego 51 znajduje się budzące uwagę Muzeum Władysława Broniewskiego, które jest częścią Muzeum Literatury. W willi poeta spędził ostatnie lata swojego życia. Obecnie odbywają się tam także, różne wydarzenia kulturalne, koncerty, wykłady, a latem na terenie ogrodu – joga. Warto też wspomnieć o kamienicy Gutt-Gutowskiego przy numerze 36, ponieważ idąc przez skrzyżowanie Dąbrowskiego i Kazimierzowskiej zobaczymy jej fasadę. Ta interesująca kamienica z charakterystycznymi kolumnami i balkonami powstała prawdopodobnie po 1926 roku. Ciekawostką jest, że, na parterze tej kamienicy znajdował się sklep alkoholi. Jak napisano, w „Kronice Warszawy”: Na parterze tego narożnego domu mieścił się sklep alkoholi, wódek i towarów kolonialnych Stefana Księżopolskiego.

PAŁAC SZUSTRA

Rozmawiając o architekturze Starego Mokotowa, powinno się wspomnieć o mało znany i powiedziałbym, że ukrytym – Pałacu Szustra, znajdującym się w Parku Szustrów. Pałac w oryginalu został zbudowany w stylu klasycystycznym w 1776 roku dla marszałkowej księżnej Izabeli z Czartoryskich Lubomirskiej. Pałac ten wielokrotnie zmieniał swych właścicieli, jak i był przebudowywany. Trzy razy go zdewastowano: w czasie powstania listopadowego przez Rosjan i dwa razy przez Niemców w 1939 i 1944 roku (wówczas spłonął). Odbudowany został w latach 1962–65. Obecnie jest siedzibą Warszawskiego Towarzystwa Muzycznego im. Stanisława Moniuszki – Dom Kultury Muzycznej. Organizowane są tam koncerty jazzowe i nie tylko. Przechadzając się wokół pałacu, można czasem usłyszeć delikatne dźwięki skrzypiec, wiolonczeli albo fortepianu.

DOM E. WEDLA

Idąc na Stary Mokotów, nie można pominąć domu E. Wedla przy Puławskiej 28. Został wybudowany w 1936 roku według projektu Juliusza Żóralskiego dla „króla czekolady” Jana Wedla. Uchodzi za podręcznikowy przykład warszawskiego funkcjonalizmu. Budynek z czasem zyskał miano jednego z najwybitniejszych dzieł architektury Warszawy lat 30. Budynek był świetnie wyposażony, w środku znajdowało się wiele dzieł sztuki, rzeźby Stanisława Tomaszewskiego czy obraz Zofii Stryjeńskiej Taniec góralski.

ULICA L. NARBUTTA

Ulica łącząca ulicę św. Andrzeja Boboli z Puławską. Nazywana jest za jedną z bardziej malowniczych arterii w okolicy. Przed wojną ulica niosła nazwę Georga Narbuta przez jedno t. Dzisiaj została przemianowana na ulicę powstańca styczniowego – Ludwika Narbutta. Wędrując tą ulicą, napotkamy interesujące kamienice prezentujące styl modernistyczny, ale też ślady z czasów wojny. Przy numerze 3a zachował się napis „Sprawdzono min nie ma” z 1945 roku. Przy numerze 22 znajduje się wyróżniająca się kamienica Mieczysława Broniewskiego z 1938 roku. Kamienica ma niezwykle ciekawy kształt. Uwagę przykuwa falująca elewacja oraz eleganckie drzwi wejściowe. Kamienica została zaprojektowana przez wybitnego architekta Antoniego Jawornickiego w stylu art deco. Elewacja na poziomie parteru wyłożona jest ciemnym klinkierem, a powyżej piaskowcem. Idąc dalej tą ulicą, polecam zatrzymać się w lodziarni Jednorożec znajdującej się przy Narbutta 38. Zjeść można tam słynne lody. Przy ul. Kwiatowej Narbutta rozdziela się na dwie nitki, okrążając w ten sposób Skwer Słonińskiego. Na jego terenie wybudowane zostało Kino Iluzjon/Stolica w latach 1949–1950 wg projektu Mieczysława Pipreka w stylu socrealizmu. Kino działa do tej pory. Jest to ważny punkt na mapie Starego Mokotowa, bowiem jest to kino studyjne i w dość mocny sposób rozwija kulturę wyższą. Iluzjon obecnie składa się z dwóch sal Stolica i Mała Czarna. Kino to wpisane jest do rejestru zabytków i należy do Filmoteki Narodowej. W kinie często są organizowane różnorakie wydarzenia kulturalne takie jak: Święto Niemego Kina, festiwale, różne cykle takie jak Retroteka odbywająca się raz w miesiącu. Jest to koncert z głównie przedwojenną muzyką, po którym następuje projekcja filmu z tamtej epoki. Dyrektorem muzycznym przedsięwzięcia jest Jan Emil Mlynarski. Iluzjon ceniony jest za ambitny repertuar – połączenie klasyki i nowości. Na terenie kina znajduje się Iluzjon Café Bar z wegańskimi potrawami. Latem Iluzjon Café Bar organizuje co środę *Letnie tango w Iluzjonie*. Cykl wieczornych spotkań, podczas których odbywają się potańcówki i nauka tańca.

FRANCISZEK GACZYŃSKI

NASZE KORZENIE, CZYLI OBECNOŚĆ KULTURY SŁOWIAŃSKIEJ DZISIAJ

Początek roku to nie tylko kolejne święta – od Walentynek po Święta Wielkanocne – ale też czas, w którym nosząc ciepłe kurtki i zimowe buty, marzymy o początku lata i wiosny. W czasach, w których myślę o tak prostych chwilach, myślę też o identyfikowaniu siebie. Można dojść do wniosku, że nasza kultura słowiańska zanika oraz że w dzisiejszych czasach, nie świętujemy już najprostszych rzeczy jak kiedyś. Jednak zgłębiając się w korzenie naszych i przywołując opowieści naszych prababek, można łatwo zauważać, jak mimo zmiany czasów i otoczenia, pamiętamy o tradycji – od topienia Marzanny w przedszkolu, malowania pisanek w podstawówce, po zbliżające się Walentynki.

POCZĄTEK ROKU SŁOWIAŃSKIEGO

Artykuł zaczęłam od wspomnienia Nowego Roku. Dzisiaj zaczynamy go w styczniu, jednak Nowy Rok naszych przodków zaczynał się razem z początkiem wiosny, czyli w marcu, a kończył w lutym. Pierwszego marca zamiast hucznych fajerwerków, Słowianie wypatrywali jaskółek, które przewidywały pogodę. W końcu – „jedna jaskółka wiosny nie czyni”. Dzisiaj ptak ten nadal jest kojarzony z wiosną. Świętowanie Nowego Roku zaczynało się jednak 9 marca, kiedy to odbywały się tańce i wieczerze symbolizujące nowe początki. Celebrowano wtedy Szczodre Gody, podczas których Słowianie wróżili przyszłość na kolejny rok. Podobnie dzieje się w Andrzejki, kiedy często w formach zabawy wróżymy sobie, co spotka nas w nadchodzącym czasie.

JARE GODY

Przez to, że Nowy Rok zaczynał się w marcu – wraz z początkiem wiosny – nasi przodkowie musieli pożegnać zimę. Jare Gody, bo tak nazywało się to święto, reprezentowało nowe początki jeszcze silniej niż na przykład Szczodre Gody. Młodzież budowała wtedy ze słomy upersonifikowany wizerunek zimy, czyli Marzannę, którą później zanoszono do najbliższej rzeki, podpalano, a potem topiono. Ta tradycja nadal została z nami, szczególnie celebrowana w dzieciństwie we wszystkich polskich przedszkolach. Co zaskakujące Słowianie podczas Jarych Godów... malowali pisanki. Jajka, które również w naszej kulturze oznaczają początek, odnowienie, malowano, ozdabiano roślinami, a potem dawano bliskim. Świętowanie nie kończyło się jednak 21 marca, ponieważ następnego dnia nasi przodkowie obmywali się w świętej wodzie. To również oznaczało symboliczne przejście od starego porządku do tego, co nowe. Dziś święto to znamy jako Śmigus Dyngus.

NOĆ KUPAŁY

Powoli, z ponurych i ciemnych zimowych poranków, przechodzimy do początków słonecznego i ciepłego lata. To dwudziesty czerwca jest najbliższym dniem w roku. W kulturze słowiańskiej świętowano wtedy Dzień i Noc Kupały. Tego dnia dominowały żywioły wody i ognia, ale była to też celebracja miłości – odpowiednik dzisiejszych Walentynek. W to święto do wieczora nie można było kąpać się w jeziorach i rzekach. Wieczorem zaś zaczynały się tańce, skoki nad ogniem i śpiewy. Kobiety, które nie wyszły jeszcze za mąż, zaplatały wianki ze znalezionych ziół i kwiatów, po czym puszczaly je na pobliskich rzekach i jeziorach. Młodzi mężczyźni wyławiali je oraz łączyli się w pary z ich właścicielkami. Tego dnia pokazywano sobie i świętowano miłość – tak samo jak w zbliżające się Walentynki.

DZIADY

O następnym święcie słyszał chyba każdy lekturze romantycznego dramatu Adama Mickiewicza. Mowa tutaj o Dziadach, święcie poświęconemu zmarłym. Wierzono, że zmarli odwiedzają nasz świat raz w roku, właśnie we wspomniane Dziady. Duchy miały przekazywać żywym dobre rady, opiekować się nimi i pomagać im. Ludzie chętnie szkowali dla nich pokarmy i napoje, aby zyskać ich przychylność. Działo się to w domowym zaciszu. Święto pomagało też ludziom z rozumieniem pojęcia śmierci, która tak jak wiele elementów w kulturze słowiańskiej reprezentuje początek i koniec. Dzisiaj Dziady są często utożsamiane ze Świętem Zmarłych, w którym również dochodzi do pojednania się ze zmarłymi.

POSTRZYŻYNY

Motyw nowych początków już wiele razy pojawiał się w tym artykule, trzeba przyznać, że dla Słowian był on bardzo ważny. Wiązało się to z tym, że wszelkie rytuały pozwalały uczestnikom w symboliczny sposób pożegnać jakiś etap życia i rozpoczęć nowy. Ważnym zwyczajem były postrzyżyny, które odbywały się w siódme urodziny chłopców. Obcinano wtedy dziecku po raz pierwszy włosy. Ostrzyżony chłopiec rozpoczynał nowy etap w życiu, przechodząc spod opieki matki pod kuratelę ojca. Gest obcięcia włosów jest nadal obecny w naszej kulturze. Na przykład po przejściu do wojska również obcina się włosy. Dla dziewcząt, włosy zaplatane w warkocz oznaczały czystość, niewinność i dziewictwo. Znaczenie tego upięcia jest nadal obecne, przede wszystkim w różnych formach sztuki. Po ślubie kobiety obcinały włosy lub chowały warkocz pod chustą, kończąc czas młodości i rozpoczynając nowe życie jako mężatka, gospodynę, matkę.

ZIELARSTWO

Pamiętacie babkę zielarkę z serialu *Rancho*? Swoimi ziołami i wierzeniami oraz przepowiedniami pomagała innym mieszkańcom wsi Wilkowyje. Motyw lecznictwa ziołami w słowiańskiej kulturze jest nadal obecny, jednak swoje początki miał już w czasach przed panowaniem Mieszka I. Dla Słowian poza ziołami były jednak też ważne drzewa – przede wszystkim brzoza. Był to symbol odrodzenia, zdrowia i płodności. Wokół tego drzewa odbywały się różne rytuały. Dzisiaj sok z brzozy wzmacnia odporność i pomaga w chorobach układu krążenia.

Inne drzewo było kojarzone raczej z proroczymi snami i odpoczynkiem. Możecie je skojarzyć z utworem Jana Kochanowskiego „Na lipę”, bo to o niej mowa. Kwiaty lipy miały rolę uspokajającą, relaksującą, a napar z tego kwiatu był podawany w czasie chorób. Wcześniej wspomniałam o Nocy Kupały. To święto również skupiało się na naturze. W wiankach młodych dziewcząt pojawiała się bylica, która symbolizowała miłość, pożądanie i chroniła przed złymi duchami. W innych formach, miała łagodzić ból i kurować w czasie chorób. Inną rośliną w wiankach był dziurawiec, który miał rolę uspokajającą i działanie antydepresyjne. Musiał być suchy i zebrany nocą. Krwawnik pospolity po wysuszeniu był używany do wysuszania ran, a mięta miała strzec przed pokusami i symbolizowała namiętność. Dzisiaj nadal używamy tych ziół w celach leczniczych jako kadzidło czy napar.

Nasze obyczaje możemy zrozumieć na wiele sposobów. W dzisiejszych czasach w mediach mówi się, że kultura słowiańska odchodzi w zapomnienie. Jednak wystarczy spojrzeć wokoło siebie, wyjść na dwór czy przejrzeć kalendarz, aby zobaczyć, jak bardzo obecna jest w nas pamięć o naszych przodkach.

JULIA WIĘCH

Z PAMIĘTNIKA PODRÓŻY

- WYPRAWA NA GRAN CANARIĘ

Z Gran Canarią wiąże się wiele moich wspomnień: piękne wschody słońca, poranny śpiew ptaków i ciepły klimat, który zachęcał mnie do wycieczek po tej pięknej wyspie. Ponieważ w Polsce w okresie zimowym brakuje mi kontaktu ze słońcem, a zimny klimat daje w kość, postanowiłem wrócić do miejsca, które pamiętałam z dzieciństwa.



Po zakwaterowaniu się wychodzimy na miasto. W okolicy jest mnóstwo sklepików, gdzie możecie kupić lokalne produkty. Mała rada, jeżeli nie chcecie wydać za dużo pieniędzy, polecam się udać do lokalnych supermarketów – tam wszystko jest znacznie tańsze, a jeśli chcecie, możecie się trochę podszkolić w hiszpańskim. *De nada*. Na razie odłożcie zakupy na później, ponieważ zbliżamy się do **Dunas de Maspalomas** – rozległych wydm, gdzie będziecie mogli się poczuć jak na Saharze. Stamtąd możecie dostać się na plażę Maspalomas lub do latarni w promenadzie **Meloneras**. Możecie też zostać na wydmach, wygrzewając się godzinami na słońcu lub biegając po piaszczystych wzgórzach i wymyślając niestworzone historie na Instagrama.



Nasza przygoda zaczyna się w **Maspalomas** – mieście położonym na południu wyspy. Z okna rozciąga się widok na ocean i miasto: pomiędzy budynkami rosną palmy, kwitnie dużo kwiatów – miła odmiana po zimowych, szaroburzych widokach w Polsce. Balkon jest też często odwiedzany przez ptaki, takie jak papugi ary czy gołębie. Trzeba tylko uważać, żeby nie zostawić na stoliku jedzenia: w mgnieniu oka posiłek może zniknąć w szponach jakiegoś głodomora.



Podróżując nieco dalej, pojechałam autobusem aż do **Mogán**, nazywanego „Małą Wenecją”. Jest to jedno z piękniejszych miejsc na Gran Canarii ze względu na rosnące tam bugenwillie. Miasteczko słynie z przystani jachtowej Puerto de Mogán, do której przypływają łodzie z całego świata, a przy brzegu można zobaczyć ławice ryb. Można też zatrzymać się na promenadzie na rybny bulion i owoce morza z kanaryjskimi ziemniakami.

To tylko kilka miejsc, które znajdują się na Gran Canarii. Mogłabym też polecić m.in. wizytę w akwarium Poema del Mar lub wędrówkę na szczyt **Roque Nublo**. Gdzie się zatrzymacie i czego nie zobaczycie, pamiętajcie o kilku sprawach: bawcie się bezpiecznie i jeśli będziecie opuszczać tę piękną wyspę, zabierzcie z niej, oprócz piasku w butach i kilku poręcznych kaktusów, tyle energii słonecznej, ile pomieszczą wasze kieszenie. Pozytywna energia jest jak najbardziej pożądana ;)

KATARZYNA WINIARZ FOT. KATARZYNA WINIARZ



TAJEMNICZE STWORZENIA FOLKLORU AMERYKAŃSKIEGO

Ameryka jest kolebką wielu ciekawych legend, mitów oraz wierzeń. Lokalne plemiona wierzyły w istnienie nadnaturalnych istot, które często symbolizowały zło. Po dziś dzień owe opowieści kształtują kulturę amerykańską oraz rodzą nowe legendy inspirowane przeszłością. Oto krótki przewodnik po stworzeniach, które są starymi kultowymi w Ameryce.

WENDIGO - UOSOBIENIE ZŁA

Według wierzeń Indian z plemienia Algonkinów na dalekiej północy Stanów Zjednoczonych, w lasach Quebecu napotkać można Wendigo (inaczej Windigo, Witiko windago). To stworzenie podobne do człowieka – w zasadzie, w przeszłości będące człowiekiem. Ale co musiało się stać istocie ludzkiej, żeby zmieniła się w takiego potwora? Otóż istnieją różne wersje tej historii. Jedne mówią, że ludzie przemieniali się w Wendigo, gdy zostali opętani przez jego ducha, według innych zostawali nim kanibale czy też ci, którym ktoś złamał kiedyś serce. Wyobrażeń na temat kryptydy także jest wiele, ponieważ każde plemię wyobrażało ją sobie na swój własny sposób. Z jednej strony możemy się spotkać z opisem wysokiego i chudego humanoidea o szarej skórze uzbrojonego w ostre zęby, zaś gdzie indziej usłyszemy o potężnym człowieku, który jest porośnięty futrem oraz posiada kły i pazury. Jednak jego najbardziej znany wizerunek pochodzi z popkultury. Stworzenie o świecących, żółtych ślepiach, z jelenią bądź baranią czaszką wykończoną pokaznymi rogami. Wszystkie jego odmiany łączy wspólna cecha – ma zlodowaciałe serce oraz jest głodny ludzkiej krwi. Aktywny najczęściej zimą, atakuje ludzi błąkających się po lesie. Swoje ofiary, nie chcąc, aby ich jakość się pogorszyła przed spożyciem, trzyma w pieczarach lub opuszczonych, starych kopalniach. Jego słabością jest to, że boi się ciepła (w końcu ma serce z lodu), a także symboli zwanych anasazi, które tworzyły rdzenne plemiona Ameryki. Postać Wendigo nawet dzisiaj jest rozpoznawalna. Sławnym jest na przykład dzięki powieści Stephena Kinga *Smętarz dla zwierzaków*, gdzie jest nieczystą siłą potrafiącą przywracać zmarłych do życia. Powstały również filmy i seriale, w których Witiko odegrał swoją rolę. Można go zobaczyć między innymi w horrorze *Wendigo*, serialach *Teen Wolf*, *Czarodziejki* czy nawet w bajce *My Little Pony* (tutaj jego wygląd jest bardzo oryginalny, jest ducho-koniem żywiącym się niezgodą wśród kucyków). Występował także w licznych grach, takich jak *Until Dawn*, *Fallout 76* czy *Diablo II*. W psychologii istnieje termin „psychoza wendigo”, który opisuje zespół zaburzeń psychicznych. Są to skłonności kanibalistyczne z towarzyszącym agresywnym zachowaniem oraz trudnością do socjalizacji.

MOTHMAN - CZŁOWIEK-ĆMA

Na wschodzie USA, w Wirginii Zachodniej, krąży pewna miejska legenda. Narodziła się w połowie XX wieku i opowiada o stworzeniu, które wzrostem trochę przewyższa człowieka, posiada ciemną skórę oraz wielkie skrzydła ćmy. Jego ogromne ślepy świecą w czerwonym kolorze. Nazywają go Mothmanem, czyli człowiekiem-ćmą. Ci, którzy go spotkali, twierdzą, że w jego obecności słyszy się dziwne dźwięki przypominające pisk, a także czuje się przytłoczenie jego obecnością – z tego powodu osoby, które miały styczność z Mothmanem, nie do końca pamiętają, jak wyglądał. Jesienią 1966 roku doniesień o tej istocie było znacznie więcej niż dotychczas. Zaczęło się od Newella Partrige'a, którego pies zniknął w tajemniczy sposób. Mężczyzna twierdził, że przy swojej stodole ujrzał czerwone oczy nieprzypominające oczu innych zwierząt. Nie odważył się podejść do źródła światła, całą noc czuwał jednak w gotowości z bronią. Rano nie było śladu ani po psie, ani po tajemniczym stworze. Od tego momentu przez kolejny rok relacje o Mothmanie pojawiły się coraz częściej. W pewnym momencie nadano mu tytuł istoty z kosmosu, która ostrzegała przed przeszłością. Miało to związek z katastrofami, jakie miały wówczas miejsce – zamach na papieża, na prezydenta Stanów Zjednoczonych, a także zawalenie się mostu Silver Bridge. Podczas ostatniego ostatniego zdarzenia niektórzy świadkowie mieli zobaczyć postać Mothmana tuż przed tragedią. Na zdjęciach przed katastrofą ludzie dopatrzyli się nietypowej sylwetki na skraju mostu – rzekomego człowieka-ćmy. Istnienie Mothmana zostało poddane ocenie naukowej. Twierdzi się, że stworzenie jest tworem ludzkiej wyobraźni na skutek zbiorowej histerii, halucynacji i omamów. Często także podejrzewa się, że jest to spowodowane pareidolią – znajome kształty zaczynają nabierać tajemniczości w naszym umyśle i nabieramy co do nich podejrzeń. Więc, tak jak my postrzegamy bluzy na wieszaku jako potwora, który zawitał do pokoju z piekła, tak wtedy ludzie odnajdywali w swoim otoczeniu wielką humanoidną ćmę, która zwiastuje nieszczęście.

SASQUATCH – SŁYNNA WIELKA STOPA

Przenieśmy się teraz w Góry Skaliste, skąd już od XIX wieku napływały zgłoszenia dotyczące człekopodobnego, futrzastego stworzenia, które chodzi na dwóch nogach oraz pozostawia po sobie charakterystyczne odciski stóp. Mowa oczywiście o Wielkiej Stopie, której istnienie nie zostało potwierdzone naukowo, lecz o której tak wiele się opowiada. Wśród Indian stworzenie miało wiele imion (najsłynniejsze z nich to Sasquatch), różne plemiona opowiadały o istocie podkradającej zapasy, podsłuchującącej

rozmowy między mieszkańcami (żeby potem móc porwać jakąś osobę), czasem nawet mówiono, że Sasquatch to ludożerca grasującego w okolicy. Podania mówią, że Wielka Stopa prowadzi nocne życie, osiąga nawet do 3 metrów wzrostu, nie posiada ogona oraz wydziela nieprzyjemny zapach. Pierwsze doniesienie na temat kryptydy miało miejsce w 1811 roku, kiedy to odnaleziono ślady Wielkiej Stopi odbite na śniegu. Od tej pory coraz to głośniej mówiono o stworze przemierzającym Góry Skaliste oraz okolice. Najstarszy dowód na jego istnienie znaleziono w 1968 roku. Było to futro, które nie pasowało do DNA innych zwierząt, musiało więc należeć do jakiejś niezidentyfikowanej jednostki. Jest jednak mało prawdopodobne, że należało ono do Wielkiej Stopi, ponieważ nie mamy, jak porównać znalezione poszlaki z właściwym futrem istoty. Sasquatch posiada słynnego kuzyna – Yeti. Przyjmuje się, że zamieszkuje on tereny południowej Azji w rejonie Himalajów. Oba stworzenia mają ze sobą sporo wspólnego – wyglądają podobnie, mieszkają w górach oraz mają duże stopy. Można przyznać, że Wielka Stopa zostawiła swój ślad nie tylko w terenie, ale także w kulturze. Stała się ikoną Stanów Zjednoczonych. Wizerunek stwora można zobaczyć na znakach drogowych, rysunkach czy pamiątkach do kupienia w lokalnych sklepach, jak również można kupić maskotkę z jej wzorkiem. Sasquatch zalicza się do uniwersum Marvela, gdzie przedstawiany jest jako naukowiec, który podobnie jak Hulk, ma możliwość przemieniania się w Wielką Stopę na skutek promieniowania gamma. Stwór obecny jest także w wielu grach, najczęściej jako *easter egg* (niespodzianka, którą gracz przy większym wysiłku może odnaleźć). W drugiej części serii *The Sims* w jednym z dodatków można go spotkać na ukrytej parcele, zaś w *Red Dead Redemption* można zauważać jego szczątki na ośnieżonej grani. Swoje pięć minut miała gra z gatunku horroru o nazwie *Bigfoot*, w której gracz poluje na tytułowego stworzenia. Wielką Stopę powiązać można z licznymi tytułami filmowymi, głównie komediemi i bajkami, gdzie stwór przedstawiany jest w pozytywnym świetle. Powstało także wiele dokumentów zajmujących się poszukiwaniami Sasquatcha.

CHUPACABRA - JASZCZUR CZY PIĘS?

W Meksyku oraz na południu Stanów Zjednoczonych małe dzieci straszone są opowieściami o wampirzym potworze, który napada zwierzęta gospodarskie i wysysa z nich krew. Nazywany jest chupacabra, co w hiszpańskim oznacza wysysacza kóz. Jest kilka wyobrażeń wyglądu chupacabry. W jednym z nich przypomina czekopodobnego gada pokrytego zielonymi łuskami, z dużymi, prawdopodobnie czerwonymi, oczami oraz kolcami na grzbicie. Inna wersja mówi o zwierzęciu przypominającym psa pozbawionego sierści z szarą skórą, ostrymi pazurami i kłami. Napotkać można również połączenie obu opisów, czyli psa z długimi kłami oraz kolcami na grzbicie. Od końca lat 80. masa zwierząt w meksykańskich gospodarstwach znajdowana była martwa. Większość z nich zabita była w podobny sposób – zwierzęta pozbawione były krwi, zaś na ich ciele widoczne były ślady przypominające ugryzienia. Początek XXI wieku przyniósł najwięcej zgłoszeń dotyczących chupacabry. W donosach zaczęto twierdzić, że istota potrafi latać. W jednym przypadku stwierdzono, że zwierzęta napadły uskrzydlony kangur. Tym sposobem narodziła się miejscowa legenda o istocie żądnej krwi. Chupacabra do dziś pozostaje kryptydą, nie zidentyfikowano jeszcze jej istnienia. Możliwe jest, że owe stworzenie to krzyżówka dwóch gatunków ssaków z rodziny psowatych, która zdaje ofiary, wysysając z nich krew. Jest również prawdopodobne, że zwierzęta domowe były ofiarami sekt religijnych.

INNE STWORZENIA

Na terenie Ameryki krąży jeszcze wiele legend i mitów, mniej i bardziej znanych, jednak również interesujących. Wywodzą się one najczęściej z opowieści rdzennych mieszkańców Ameryki. Na Alasce mówi się o stworzeniach nazywanych Uyaruli. Są to wysokie stwory, których ręce sięgają ziemi i których włosy pokrywają im całe ciało. Jedyna rzecz zauważalna spod warstwy włosów to świecące białe oczy. Według wierzeń Uyaruli byli niegdyś dziećmi, jednak zabłędzili w lesie, zmienili się w owe stwory. Kolejna świetna bajka dla dzieci przed zaśnięciem – miała rozwijać wszelkie chęci szwendania się po lesie samemu. Mitologia karaibska przedstawia nam Loogaroo. Jest to czarownica, stara kobieta, która zawarła pakt z diabłem. Jest w stanie rzucać czary, jedynie, kiedy złoży ofiarę w postaci krwi. Grasuje na wyspach karaibskich oraz na wybrzeżach obu Ameryk. Aby uniknąć jej ataku należy wysypać coś, co Loogaroo będzie w stanie policzyć, najlepiej, żeby było tego dużo. Mogą to być na przykład ziarna ryżu. Wiedźma zacznie je liczyć, zaś osoba zagrożona ma czas na ucieczkę. Indiańskie plemię Navajo wierzy, że istnieją istoty potrafiące zmieniać swoją postać. Skinwalkers, czyli zmiennikoształtni, potrafią przybrać postać zwierzęcia czy też wysokiego i chudego potwora (taki wizerunek jest współcześnie bardziej popularny). Według wierzeń nie powinno się o nich rozmawiać, ponieważ przynosi to nieszczęście oraz jest się narażonym na atak z ich strony. Mogą opętać ludzi i zwierzęta poprzez spojrzenie im w oczy. Na południu stanu New Jersey spotkać się można z opowieściami o skryzdalej istocie z długą szyją, ogonem, czerwonymi oczami, chodzącą na dwóch nogach. Przypominać ma diabła, dlatego też zwiastuje się Jersey Devil. Legenda głosi, że diabeł narodził się w postaci zdeformowanego niemowlęcia, dlatego też został porzucony przez matkę. Od tamtej pory można usłyszeć o przypadkach, gdzie widziano stworzenie krażące nad New Jersey.

MARIA JUŻKÓW

GRAFIKI: WIKTORIA KRASZENINNIKOWA